

# Pamiętnik Słima Morano – 7

19 lipca 2020

## Wiosna 2000

Tymczasem ogarnęła mnie teraźniejszość. U Jetaina zacząłem pracować tuż po świętach. W okresie między świętami i sylwestrem busik (albo „chattele” od angielskiego „shuttle”, jak go niektórzy od nazwy amerykańskiego promu kosmicznego nazywali, wdrapując się tym samym na wyżyny swoich urzędniczo-twórczych możliwości) musiał także kursować, mimo że prawie wszyscy byli na urloпах. Jeździłem więc codziennie od 730 do 1715, robiąc szesnaście kursów w jedną i szesnaście w powrotną stronę. Ale w ciągu tych paru dni do sylwestra miałem w sumie może osiemdziesięciu pasażerów, podczas gdy przeciętna dla jednego dnia wynosiła pięćdziesiąt do stu osób. Najwięcej ludzi jeździło w czasie przerwy obiadowej, bo umawiali się wtedy na spotkania w pobliskich knajpkach bądź w kantynach jednej z obu filii banku, pomiędzy którymi kursowałem. W pozostałych porach dnia jeździłbym przez połowę kursów na pusto, gdyby nie fakt, że... miałem swoich opiekunów. Klaudia co prawda pozostawiła mnie swemu losowi, jeśli chodzi o zdobywanie środków na własne utrzymanie, ale nie, jeśli chodzi o ochronę osobistą. Byłem więc chroniony przez całą sieć agentów. Ja – takie sobie absolutnie nic, kierowca paroosobowego busika, do niedawna jeszcze lump z paryskiego przedmieścia, znajdowałem się pod ochroną zastępu kosmicznych agentów, z których każdy, pojedynczo, byłby w stanie bez trudu w ciągu paru minut obezwładnić nowocześnie uzbrojoną kompanię wyborowych komandosów; agentów, którzy szkoleni byli w innym wymiarze, gdzie zadawanie choćby najszybszych i najsilniejszych ciosów czy też wynalazki naszej techniki wojskowej, byłyby bronią równie bezskuteczną, jaką byłaby próba powalenia z nóg słonia przez dwuletniego bobasa. Tam decydowała bowiem o wszystkim intuicyjna umiejętność skupiania

energii, jedność ze wszystkim, to poczucie balansowania na linii czasu, bycia „w”, a nie tak zwana technika bądź też fizyczna siła, czy też refleks – choć i w tym względzie Atai, Klaudii i innym spośród nich nic nie brakowało. Klaudia tłumaczyła mi, że one i ich kompani posiadają umiejętność regulowania gęstości swoich ciał fizycznych, do czego jest potrzebna znajomość „długości medium i klej”, jak to nazywała. Objawiało się to w ten sposób, że stawali się oni czymś w rodzaju zjaw, przez które można było przechodzić jak przez mgłę, lub całkowicie znikali z pola widzenia i nagle pojawiali się w innym miejscu. Żadnego więc rodzaju pociski, środki wybuchowe czy też ciosy nie mogły ich w tym stanie zaniżonej gęstości dosięgnąć, o ile nie zakłócały one ich pola grawitacyjnego. Pole to zaś mogłaby zakłócić na przykład broń nuklearna. Z tych właściwości pozwolono im korzystać tu na dole tylko pod warunkiem, że będą ich używać do mojej ochrony i ochrony „multidymensjonalnego” zjawiska, zwanego „Pamiętnik Slima Morano”. Musi on się przyczynić do realizacji planu duchowego rozwoju ludzkości i musi zostać napisany, aby „prawda zalała świat”, jak wyraziła się kiedyś Su. I aby dzięki temu dusze oddelegowane z Królestwa, a właściwie z wielu królestw, aby dusze te – czyli indywidualne aspekty wibracji praźródła – mogły, wzbogacone o odpowiednie doświadczenia, powrócić na swe wyższowymiarowe pielesze.

Problem jednak polegał na tym, że o dusze te toczyła się szczególnie zaciekle walka, ponieważ dla czarnych, którzy na wszystkich pozostałych duszach pasożytowali, dusze te były jedynym niepozwalającym się bezprawnie dobrać źródłem energii życiowej i w dodatku mogły się stać wzorem postępowania dla innych, którzy – nieświadomi faktu, że czarni podstępnie wysysają z nich energię – żyli w złudzeniu, że sami o sobie stanowią. Aby jednak wejść w posiadanie jakiejś duszy lub się do pola jej energii jakoś dostać, czarni musieli jakoś ukrócić jej świadomy kontakt z praźródłem; nie tyle go przerywając, ile przejmując go pod swoją kontrolę. Było to więc trochę tak, jakby ktoś, założywszy podsłuch telefoniczny, mógł nie tylko

podśluchiwać, ale także mieć czynny wpływ na myśli obu rozmówców i na przebieg rozmowy. Najpewniejszą gwarancją na ograniczenie ich ingerencji w czyjeś życie było trwanie w kontakcie z praźródłem, co, inaczej mówiąc, oznaczało życie wedle zasad prawa kosmicznego, które nie było niczym innym, jak próbą przetłumaczenia emanacji praźródła na kategorie, przystępne świadomości istot z trzeciego wymiaru, czyli z trójki, jak skrótowo ten nasz zakres widma nazywała Su i Klaudia oraz inni agenci.

Każda litera tego kosmicznego prawa była „jak gwiazda, jedna z tych odwiecznych gwiazd prawdy” – jak wyraziła się kiedyś Su – „i odcinanie się od niej było jak schodzenie z drogi i wchodzenie w gęsty, coraz gęstszy i ciemniejszy las”. Moim zadaniem było „rozpalić ognisko w tym lesie i zwołać wszystkich królewskich posłańców do kupy”.

O tym wszystkim ludzie z ulicy nie mieli oczywiście żadnego pojęcia. I naturalnie pasażerowie mojego busika także nie. Z niektórymi z nich snułem wprawdzie od czasu do czasu krótkie pogawędki, ale gdybym wspomniał komuś słówko o tym, że ja, nieposiadający z ich punktu widzenia żadnych zawodowych kwalifikacji kierowca minibusika, jestem królem w tak zwanym Trzynastym Królestwie, który się inkarnował na planecie, aby na niej coś bardzo ważnego ocalić... Ocalić poprzez podniesienie poziomu zbiorowej świadomości ludzkości albo, jak nazwała to Klaudia, „poziomu wewnętrznej świadomości zbiorowej”.

W rozmowach z moimi pasażerami nawet nie poruszałem takich niezwykłych tematów. Nie milczałem też jednak. Nie milczałem, bo nie mogłem milczeć; musiałem się bronić. Bronić się, stawiając przed sobą barierę wyidealizowanej, wyższej moralności, która nie odrzucała niczyjej miłości, ale rozбивała ją o siebie, jak metalowa tarcza rozбивałaby baloniki, napełnione wodą. Dlaczego? Dlaczego tak musiałem się bronić?

Jak już wspomniałem, moim głównym problemem życiowym była moja

nad-uroda. Nie mogłem się opędzić od kobiecych i pedalicznych zalotów. Kiedy żyłem jeszcze w mojej budce jako żebrak, miałem całą twarz porośniętą długim zarostem, pod którym jej rysy udawało mi się jeszcze jako tako skrywać. Ale od czasu przeprowadzki do mojego nowego lokum, Klaudia i Ataja wymogły na mnie zmianę. „Musisz się otworzyć” – tłumaczyła mi Klaudia. „Jesteś jednym z kanałów, przez który duchowe światło prażródła w tym świecie rozchodzi się na zewnątrz. Musisz nim promieniować. A to oznacza, że zarówno mentalnie, jak i w sposób widoczny dla innych musisz być otwarty. Ludzie, z którymi codziennie wchodzisz w kontakt, muszą się poczuć dotknięci tą hiperczęstotliwością, którą całkowicie im nieznana, najwyższa kosmiczna inteligencja raczy cię napełniać. Jesteś jej przekaźnikiem. Problem polega jednak na tym, że wielu odczuwa ten kontakt z tobą, to wejście w twoje wnętrze – w twoje wnętrze, rozpalające tą tak zwaną przez niektórych (nazwa dość nieudolnie zresztą przejęta z hinduizmu) energią kundalini – otóż ludzie odczuwają ją jako rodzaj energetycznego ataku na ich podbrzusze, a często i splot słoneczny, na ich sferę seksualną i emocjonalną. Najpierw połykają więc to twoje spojrzenie, po chwili zaś odczuwają to jako silny bodziec seksualny lub emocjonalny, wzmocniony jeszcze siłą twojej charyzmy i urody. Niektórym robi się pod wpływem twojej obecności nagle gorąco, inni czują napływ ciepła w podbrzuszu, jeszcze inni reagują gwałtowną erekcją. To, że ludzie tak reagują, to jest normalne, nie całkiem normalne jest tylko to, jak sobie to tłumaczą. A tłumaczą to sobie faktem, że tak reaguje ich instynkt seksualny, libido. Czyli popełniają ten sam błąd, jaki popełnił ten wasz Zygmunt Freud, który powinien się zająć pisaniem horoskopów w tygodnikach dla gospodyń domowych albo układaniem krzyżówek i rebusów, ale nie psychologią. Niestety, stało się. Sprowadził on wszystkie żywe istoty w zachodnim kręgu kulturowym do wspólnego mianownika o nazwie: burżuazyjni erotomani. I w sposób zupełnie nieproporcjonalny rozdmuchał wraz z innymi znaczenie waszych trzech ego: ego erotyki, ego chemii i ego cielesności. To jest może dziesięć procent was

samych. Reszta was jako przedstawicieli gatunku homo sapiens kryje się w waszych wielowarstwowych, niewidocznych dla was ciałach astralnych, duchowych. Problem jednak w tym, że wrażliwość współczesnego człowieka na bodźce o charakterze sakralno-spirytualnym opadła do poziomu niemalże zerowego, gdyż jest on za sprawą czarnych nieustannie bombardowany szkodliwymi odpadkami z tego stosu, z tego otaczającego was erotomańskiego i elektryczno-magnetyczno-informatycznego smogu, i nie jest w stanie na te subtelniejsze, podskórne bodźce się otworzyć – dopóki nie przeżyje odpowiedniego psychicznego szoku. Dla wielu ludzi ty właśnie jesteś takim szokiem, ponieważ otwierając się na ciebie, na twoją zewnętrzną, czując się poruszonymi twoim „wyglądem”, otwierają się również na ciebie wewnętrznie, stają się bardziej wrażliwi na subtelniejsze zakresy spektrum; i ich własne spektra z czasem się otwierają, robią się w nich mentalno-astralne dziury, ich własna częstotliwość zostaje zakłócona i nie pozwala im dłużej w spokoju żyć w tym starym zakresie świadomości. Czasem są to procesy długotrwałe i ty sam nie możesz ich u innych bezpośrednio zaobserwować; ale ludzie ci, nawet jeżeli ich stosunek do ciebie był lub z czasem stał się wrogi, są w pewnym sensie twoimi wyznawcami, bo poczuli oni dotykający cię Majestat z innego wymiaru i poczuli, że to jest to, czego im brakuje. Można powiedzieć, że przesadziło ich to na inną glebę. Albo na inne drzewo, drzewo krzyżowe zresztą; i że stali się niejako przez to jego spadkobiercami. Nie wszyscy są ci za to wdzięczni, ale takie jest twoje zadanie. Sam je sobie wyznaczyłeś. Nie możesz więc być duchowym mistrzem Zen, żyjącym gdzieś u podnóża Himalajów albo Fudżijamy. Ale tu, gdzie żyjesz, musisz zadziwiać, musisz oddziaływać, nie możesz trwożliwie chować głowy w piasek. I musisz na tyle zadbać o swój „image”, żeby przynajmniej schludnie wyglądać. Żeby się ogolić, potrzebne ci są trzy minuty. A dobrze byłoby, żebyś do tych dwudziestu jeden minut tygodniowo dołożył jeszcze dziesięć minut na strzyżenie. Powinieneś nosić krótkie włosy, żeby twoje królewskie rysy były dla wszystkich widoczne. Poza tym krótkie włosy to sprawa

bardzo praktyczna, zwłaszcza w twoim przypadku.”

Dostosowałem się więc do ich poleceń. Nie nosiłem zarostu i co parę dni strzygłem włosy na bardzo krótko, na jakieś sześć milimetrów. Poza tym jednak ubierałem się bardzo skromnie i zwyczajnie: zwykłe, tanie dżinsy, koszulka flanelowa lub koszulka polo z krótkim rękawem. Jeśli sądzić więc po moim ubiorze, byłem kimś bardzo zwykłym. Ale właśnie przez to miałem więcej zalotnic i zalotników. Takiego kogoś zwykłego jak ja łatwiej było zagadnąć. I w nim się... zakochać. Wyobrazić sobie, że przecież ktoś tak mało znaczący nie będzie trudnym do zwerbowania partnerem. Partnerem na resztę życia, partnerem do łóżka, partnerem w jakiejś romantycznej przygodzie.

Wiele z tych kobiet i gejów, którym się zdawało, że mogliby wreszcie być ze mną szczęśliwi, gotowych byłoby prawie z miejsca porzucić swoje własne rodziny i zaryzykować swoją własną karierę zawodową, byleby tylko mieć mnie dla siebie. Mnie – kopciuszką o królewskich rysach i jakimś mnie samemu nieznanym, kosmicznym rodowodzie. I mnie – mężczyznę, po wejrzeniu w oczy któremu wiele kobiet przeżywało ze swoim (bardzo często także homoseksualnym) małżonkiem po raz pierwszy od wielu lat orgazm; a wielu gejów, wyobrażając mnie sobie pod postacią swojej kobiecej nałożnicy, podejmowało nagle i ochoczo współżycie płciowe w swoim małżeńskim łóżu – przynajmniej do czasu wytrzeźwienia z tego erotycznego transu. Z transu bycia napromieniowanym jakąś otaczającą moją skromną osobę, charyzmatyczno-apollińską aurą.

Jednym z moich zalotników – z podkategorii gejowskich fanów, którzy chcieliby koniecznie mnie dla siebie posiadać – był pewien dobrze mówiący po francusku, młody jeszcze (przed trzydziestką) Marokańczyk. Człowiek ów, o którym nic nie wiedziałem, nawet jak się nazywa, znał mnie już od paru lat, gdyż bywał moim pasażerem już wcześniej, w czasie kiedy jeszcze pracowałem dorywczo, zanim Jetain zaproponował mi pełny etat. Kiedy jego polubowne zaloty spełzły na niczym, postanowił włączyć w to Le Parda. Le Pard było to przezwisko

pewnego niebezpiecznego, międzynarodowego mafiozo. Jak się później okazało, to on właśnie uprowadził Ataję. Dlaczego właśnie Ataję? Bo wziął ją za moją dziewczynę czy też za narzeczoną. Obserwowali nas od pewnego czasu, o czym zresztą Klaudia i Ataja wiedziały, i kiedy tylko nadarzyła się okazja... porwał Ataję. Biedak! Nie wiedział jeszcze, że Ataję można tylko wtedy porwać, kiedy jej samej na tym bardzo zależy.

Następnie sprawy potoczyły się bardzo szybko. Kiedy w drugi poniedziałek stycznia zaparkowałem busik po całym dniu pracy, jak zwykle na drugim piętrze wielokondygnacyjnego garażu, wyrosło mi nagle przed oczyma dwóch typów. Jeden z nich powiedział:

– Dzień dobry, monsieur Adamski.

Zaskoczony, w pierwszej chwili nie odpowiedziałem.

– Jest pan zaskoczony? I do tego może trochę smutny? Może samotny?

– O co... chodzi? – spytałem, nieco z trudem przełykając ślinę.

– Nie cni się panu... do kogoś?

„Ataja” – pomyślałem. „To oni mają Ataję.”

– Macie Ataję?

– Ataję? – spytał z odcieniem lekkiego zdziwienia. – Tak nazywasz swoją narzeczoną?

– Narzeczoną? – zripostowałem. I zastanowiwszy się chwilę, dodałem:

– Chyba macie na myśli moją przyjaciółkę?

– Jak go zwał, tak go zwał. Żeby sprawę skrócić: albo udasz się z nami dobrowolnie na jej odwiedziny, albo... pod przymusem.

W pierwszej chwili chciałem już ich spytać – sposobem Klaudii

– czy preferują jaja na miękko, czy na twardo. Rozsądek podpowiedział mi jednak inną możliwość; spytałem mianowicie, czy mógłbym zadzwonić.

– Chcesz zadzwonić? – zapytał niby to przymilnym tonem ten sam z nich, który przed chwilą wdał się ze mną w rozmowę, będąc najwyraźniej odgórnie upoważnionym do prowadzenia „pertraktacji”. Był to rosły i nieporadnie surowy, zarazem jednak bardzo pewien siebie typ, któremu nie można było odmówić pewnego rodzaju charyzmy, jaką mają ludzie, którzy są w posiadaniu tajemnej listy wpadek swojego – w ich mniemaniu wszechwładnego – szefa, a przez to zdają się, przynajmniej do czasu, cieszyć się jego głębokim zaufaniem.

– Chcesz się z kimś pożegnać? – ciągnął tonem niby to pełnym zrozumienia. – A może chcesz komuś złożyć życzenia urodzinowe? Oczywiście. Proszę bardzo. Tylko my nie lubimy, kiedy gliny depczą nam po piętach.

– Mamy taką alergię – odezwał się po raz pierwszy ten drugi, który w porównaniu ze swoim kompanem był przynajmniej o te dwie głowy niższy i do tego dość mikrej budowy.

– Ale ja nie chcę... – słowa uwięzły mi w gardle, bo tak naprawdę nie wiedziałem, czego należy od nich oczekiwać. Obawiałem się poza tym, żeby nie przyszło im do głowy, aby porwać jeszcze jakieś inne bliskie mi (wówczas jeszcze) osoby. Wolałem też nie myśleć o tym, jak zareaguje Jetain, kiedy nie pojawię się jutro w pracy. Powiedziałem więc:

– Muszę zadzwonić do mojego szefa, że jutro mnie nie będzie.

– Do szefa?... A kto jest twoim szefem?... Nie wiem, czy ci jest wiadome, że od dzisiaj masz nowego szefa.

– Można nawet powiedzieć – dodał ten drugi – że od dzisiaj mamy wspólnego szefa. Do dzisiaj był to tylko nasz szef, ale teraz to się zmieniło.



– A kto jest waszym szefem?

– Dowiesz się. Trochę cierpliwości.

– A teraz chcemy cię poprosić, żebyś się do nas przysiadł. Zapraszamy cię na przejażdżkę.

Podprowadzili mnie do dużej limuzyny peugeot. Kierowca wysiadł i otworzył mi tylne drzwi po lewej, co moich opiekunów chyba trochę zaskoczyło. I kiedy żaden z nich tego nie widział, puścił do mnie oko. Czyżby mój kolejny agent? Czy też tylko zwykły homozałotnik?

Następnego dnia wieczorem byliśmy już w Maroku. Le Pard przywitał mnie osobiście. Od razu wyczułem, że jest homo. Miał jednak pewną klasę. Był dość niskiego wzrostu, bardzo zadbany i bardzo elegancko ubrany. Wyglądał na przedsiębiorczego człowieka interesów.

Do swojej dyspozycji dostałem z dużym wyczuciem urządzone, przestronny apartament. W ciągu następnych paru dni Le Pard odwiedzał mnie kilkakrotnie. Wspólnie jedliśmy posiłki: tylko on i ja. Najwyraźniej czekał na jakiś gest z mojej strony. Przeszedł ze mną delikatnie na „ty”. Na imię miał tak trochę z francuska, Robert. Wychował się w okolicach Marsylii. Jego ojciec był znanym biznesmenem. Tak przynajmniej on sam się o nim wyraził.

Kiedy spytałem go o powód, dla którego zostałem uprowadzony, odpowiedział, że szuka przyjaciela. I że wydaje mu się, że znaleźlibyśmy ze sobą wspólny język. Nie potwierdzałem jego oczekiwań ani im nie zaprzeczałem. Nie chciałem też wspominać o tym, jak znalazłem się w Paryżu, o mojej pracy i tak dalej. Bo po nitce do kłębka i mógłby wpaść na trop mojej żyjącej w Polsce córki Natalii, jeżeli do tej pory o jej istnieniu jeszcze nie wiedział. Mimo iż wierzyłem Klaudii, że Natalia ma zapewnioną ochronę, nie chciałem jej ani mojej eks w to wplątywać.

Trzeciego dnia, kiedy siedzieliśmy po południu na tarasie, położył mi rękę na mojej opartej o stół dłoni. Cofnąłem ją spokojnym, ale zdecydowanym ruchem. Spojrzał krótko gdzieś w dół i rzucił dość złowieszczo:

– Taa... Rozumiem.

A po chwili, niby to już całkiem odprężony:

– Tak właściwie... najważniejszy powód, dlaczego cię tu zaprosiłem, to coś całkiem innego.

– Jaki to powód? – zapytałem w końcu po chwili, bo on zrobił pauzę, jakby chciał wyczuć, czy pobudził moją ciekawość.

– Chcę wam urządzać wesele. Ślub i wesele. I wspaniałą noc poślubną.

– Co to znaczy „nam”?

– Tobie i twojej... narzeczonej. Wiesz przecież.

– Narzeczonej?

– No tak. Jak ona się właściwie wabi?

Najchętniej wałnąłbym go za to „wabi” w mordę, ale odpowiedziałem tylko spokojnie:

– Ataja. Ale tak naprawdę to my nie jesteśmy jeszcze oficjalnie zaręczeni.

– Nie szkodzi. Szczęście trzeba szybko łapać za nogi. Inaczej może jeszcze umknąć. Na jutro zarezerwowałem wam termin w urzędzie stanu cywilnego.

– Tutaj w Maroku?

– Tak. W naszym uroczym... Ach, nieważne jest gdzie. Liczy się wasze szczęście. Sam burmistrz będzie obecny. Zrobimy wam wielką galę. Bardzo ją kochasz?

Chwilę się zastanowiłem. Gdybym zaprzeczył, Le Pard mógłby mnie uznać za wartego dalszych zalotów z jego strony, na co nie miałem najmniejszej ochoty.

– Tak – powiedziałem więc, choć może nieco za cicho.

– Długo się już znacie?

– Nie tak długo. Parę miesięcy.

– Gustujesz w blondynkach?

– To nie ma znaczenia. Kolor włosów... nie jest dla mnie taki ważny.

– A ja tak. Uwielbiam blondynki. Naprawdę ci zazdroszczę. To piękna kobieta.

Na tym nasza pogawędka się zakończyła. Poprosił mnie tylko jeszcze, żebym nie szedł zbyt późno spać. Bo jutro przed nami bardzo napięty program.

O piętnastej (co było jak na Maroko raczej dość nietypową porą; ale tu była przecież „zima”) miał odbyć się nasz ślub. Cywilny i kościelny za jednym zamachem, bo miał też być obecny katolicki ksiądz. Le Pard ustalał ze mną wcześniej, jakiego jestem wyznania, i nie interesowało go to, że w oczach Kościoła jestem jeszcze związany z moją eks. „Nasz ksiądz jest bardzo postępowy. I za jednym zamachem unieważni twój poprzedni związek” – wyjaśniał. Le Pard miał być także, jak się dowiedziałem, moim świadkiem.

Następnego dnia wszystko odbyło się według planu. Zajechaliśmy jakąś piękną, białą, amerykańską limuzyną przed niewielki, uroczy pałacyk. Swoim zewnętrznym wyglądem nie tak całkiem przypominał on urząd stanu cywilnego, ale w środku było wszystko tak urządzone, jak w jakimś pałacu ślubów właśnie, niemal świątyni. Sprawiało to tak realne wrażenie, że przez chwilę poczułem się wielce poruszony. Można chyba było sądzić, że spełnia się moje najskrytsze marzenie.

W chwilę potem pojawiła się Ataja. Była bajecznie piękna. Miała wspaniałą, białą, sięgającą ziemi suknię, z maleńkimi, wpiętymi w wielu miejscach bukietkami różnokolorowych kwiatów. Gdyby ktoś powiedział, że to jakaś słowiańsko-chrześcijańska bogini wiosny przywdziała na siebie swoją ślubną szatę, nie można byłoby mu zaprzeczyć. Przez to, że była – bardzo starannie zresztą – umalowana, wyglądała o te parę lat dojrzałej niż w rzeczywistości. Tej dojrzały wygląd przydawał jej jednak jeszcze więcej kobiecości i powabu. Zachowywała się spokojnie i „godnie”, ale jednocześnie tak, żeby nikt nie miał wątpliwości, jak bardzo mnie kocha. Podjąłem więc grę, tym bardziej, że Ataja dała mi wkrótce jednoznacznie do zrozumienia, żebym zachowywał się spokojnie i okazywał duże zadowolenie, tak jakbyśmy rzeczywiście obydwójce przeżywali długo oczekiwaną chwilę. Nie miałem nic przeciwko temu, byłem samotnym, heteroseksualnym mężczyzną, Ataja zaś rzadko spotykanym ideałem kobiecej urody. Ponadto odbierałem to jako wyraz opatrności boskiej w moim życiu, tej samej opatrności, która z bardzo trudnych dla mnie do zrozumienia powodów najpierw wpędziła mnie w tragicznie nieszczęśliwy związek z kobietą trans, a teraz w jakiś sposób próbowała mi to wynagrodzić. Trudno mi oczywiście było uwierzyć, żeby Le Pard chciał tak po prostu naszego szczęścia. Faceci homo jego typu nienawidzili kobiet, a jedyną „satysfakcjonującą” emocją, jaką w stosunku do nich mogli odczuwać, był sadyzm. Teoretycznie było jednak możliwe, że Le Pard zachował jakąś resztkę człowieczeństwa i że stać go na ten wielkopański gest: podarowanie nam – w jego mniemaniu długo oczekiwanego – szczęścia.

Wieczorem odbyło się w willi Le Parda nastrojowe przyjęcie. Zostawiono nas nawet prawie na godzinę sobie samym. Przesiedziałem i przetańczyłem tę godzinę z Atają. Było to bardzo piękne uczucie – mieć Ataję w swoich rękach.

– Wiesz, nie jesteś w moim guście, ale jesteś nieziemsko piękna – powiedziałem do niej, kiedy zaczęliśmy tańczyć.

– Dziękuję, Slim. Czy można powiedzieć, że się we mnie kochasz?

– Ataja, ciebie nie można nie kochać. Jesteś tak piękna i pociągająca, a jednocześnie... naiwna. Emanuje z ciebie siła i ta macierzyńska, kobieca moc... a przy tym jesteś taka niewinna i wesoła, jak mała dziewczynka. To jest po prostu piękne. I niespotykane.

– U nas wszyscy są tacy.

– A my nie jesteśmy u nas?

– Slim... Ja widzę twoją aurę. I wiesz co?

– Co?...

– Jesteś światłem. Jesteś światłem na tym padole.

– Szkoda, że ja nie widzę twojej aury.

– Moja aura łączy się z twoją. I się nią wzmacnia.

– Moja aura wzmacnia twoją?

– Tak.

– A nie odwrotnie?

– Nie.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, pomyślawszy sobie, że pewnie chce mnie tak „pokrzepić na duchu”. Miała tak piękne, wielkie, niebieskie oczy, iż odnosiło się wrażenie, że się w nich tonie ze szczęścia.

– To dlaczego – zacząłem znowu – działasz na mnie tak podniecająco? A ja na ciebie nie.

– Bo moje fizjologiczne reakcje zostały jakby sztucznie odmienione, przeewoluowały dalej. A twoje jeszcze nie. Jesteś jeszcze ogniwem w ewolucji. A ja już nie. Ja pochodzę z

przyszłości. Nie znaczy to, że nie jestem zdolna do odczuwania tak zwanej rozkoszy. Ale zrozum, ja jestem cały czas jakby w stanie rozkoszy. Moje centrum energetyczne nie schodzi nigdy poniżej pewnego poziomu... drgań. Jestem cały czas w stanie łączności z pramatką. To uczucie rozkoszy, zanurzenie w absolucie – jakbyś to sam nazwał – trwa u mnie niemal nieprzerwanie. Ale...

– Ale co? – ponagliłem ją po chwili, bo ni stąd, ni zowąd się zawahała, jakby się zastanawiając, czy to, co miałyby mi teraz do powiedzenia, byłoby właściwe dla moich uszu. Spojrzała mi przeciągle w oczy, jakby chciała w nich dostrzec coś, co nawet dla niej nie byłoby widoczne na pierwszy rzut oka, i kontynuowała:

– Ale na tej planecie... czy też w tym wymiarze, ta jedność z absolutem, ta łączność z praźródłem się rozdwiają. Po prostu... Wyobraź sobie spiralę, prawoskrętną, świetlistą spiralę. Masz? Masz ją przed oczami?

Kiwnąłem głową, którą znowu trzymałem lekko opartą na jej lewym ramieniu, po czym podniosłem na nią wzrok. Znajdowaliśmy się jeszcze w pozie tanecznej, ale praktycznie zamarliśmy w bezruchu.

– I teraz wyobraź sobie obok drugą, taką samą spiralę, tylko że lewoskrętną. Masz?

Znowu przytaknąłem.

– To teraz nałóż je na siebie.

– Próbuję, ale... Czekaaj, to nie jest takie proste, sobie to szczegółowo wyobrazić.

– To chodź, narysuję ci. Chodź, na chwilę usiądziemy.

– Szkoda. Tak mi z tobą tu dobrze.

– Bardzo miło usłyszeć to od ciebie.

Ataja narysowała na serwetce moim służbowym (z busika) długopisem dwie nachodzące na siebie spirale. Połączone ogniwa obu spirali wyglądały jak rodzaj łańcuszka.

– O ten łańcuszek chodzi – powiedziała. – Jego symbolem, symbolem krzyżujących się spirali, jest krzyż. Ale to jest jeszcze trochę bardziej skomplikowane, więc mniejsza o to. Tutaj, w tej rzeczywistości, jest normalne, że te spirale się rozchodzą. W momencie, kiedy zaś na siebie nachodzą, twoje ciało eteryczne, twoja dusza łączy się w idealnym zespoleniu z ciałem fizycznym. Rozumiesz?

– Chyba rozumiem.

– I teraz chodzi o to, że normalnie jest dla dziś tu żyjących ludzi rzeczą prawie niemożliwą, żeby także spirale dwojgu bliskich sobie ludzi się na siebie nałożyły. Ale to następuje w czasie aktu seksualnego i ma optymalny przebieg w sytuacji, kiedy obydwój partnerzy przeżyli jednocześnie orgazm. I właśnie na ten krótki czas trwania orgazmu zasysają w siebie energię praźródła.

– Co rozumiesz pod pojęciem „energii praźródła”?

– Sprawczą energię wszystkiego. Niezakłóconą świadomość prastwórcy. I tak dalej. Rozumiesz?

– Ale że ty mi to tłumaczysz. To jest niezwykle. Dodaje ci to tyle uroku... Robisz to z takim zaangażowaniem... Jak byś była tym prastwórcą.

– Prastwórczynią.

– Prastwórczynią?

– Jeśli ci to nie sprawia różnicy?... Stwórca ma podwójną naturę. Albo raczej jedną, zespoloną. Najlepiej symbolizuje go matka w ciąży albo z synkiem na ręku. Są właściwie jedną istotą. Jej synek jest jednocześnie jej ukochanym mężem i najczulszym ojcem, jej świetlistym wnętrzem, jej największym

skarbem. Księciem jej serca...

– Dobrze, ale dlaczego, skoro to ty jesteś zjednoczona z praźródłem, a nie ja, dlaczego to mnie tak wyróżniacie? Ja jestem przecież przy tobie... szczeniakiem. I trochę mi jest nawet z tego powodu smutno, że ci w niczym nie dorównuję.

– Nie, nie, to nie jest tak. Ja przybyłam z wyższego szczebla rozwoju. Ale w tym wieku duchowym, w którym ty obecnie jesteś...

– Co masz na myśli, kiedy mówisz „wieku duchowym”?

– Mam na myśli to, że każda dusza – ale nie tylko dusza, cała twoja duchowość... Dla uproszczenia powiedzmy jednak „dusza”. Więc każda dusza ma swój wiek. Kiedy moja dusza była w wieku twojej obecnej, stała o wiele niżej w rozwoju. I w przyszłości, kiedy twoja dusza osiągnie wiek mojej obecnej duszy, będziesz stał u szczytu tej drabiny rozwoju. Oczywiście kiedy mówię o przyszłości, mam na myśli stopień rozwoju. Bo przyszłość tam na górze nie istnieje. To tylko z waszej czy też z obecnej ziemskiej perspektywy można widzieć to jako przyszłość. Ale rozwój nie następuje liniowo lub też... nie musi liniowo następować.

– Ataja. Proszę, przestań. Jesteś za mądra jak na... Nie chcę powiedzieć, jak na kobietę, ale... jak na człowieka. Zrozum to, że jesteś piękna, pełna uroku, dobra jak anioł i do tego mądrzejsza od Salomona i świętego Augustyna razem wziętych. Wprowadzasz na tym świecie za dużo zamieszania. Wierzę wprawdzie w twoją teorię o rozwoju, ale liczą się fakty...

– Slim, a co to są fakty? Faktem jest, że ja, tak jak i Klaudia, jestem tylko aspektem twojej świadomości. Choć na to nie wygląda, to moja świadomość jest podzbiorem twojej, a nie odwrotnie. To samo dotyczy innych agentów. I w ogóle wszystkich. Prawie wszystkich.

– Prawie wszystkich? Prawie wszyscy są podzbiorem mojej świadomości?



- Tak. Ale z drugiej strony, wszystko łączy się w jedno.
- Jednym słowem, wszyscy są wszystkim.
- Tak...
- A Aiysha?
- Dlaczego... nagle wpadła ci do głowy Aiysha?
- Chyba wiesz dlaczego... Aiysha miała ze mną przejść. I nie przeszła. Ale ja mam jakieś dziwne wrażenie, że ona gdzieś tu jest. Gdzieś niedaleko. I że ty możesz mieć z tym coś wspólnego. Wiesz, co mam na myśli? Ta twoja dziwna reakcja, kiedy Klaudia wspomniała o Aiyshy. Pamiętasz? Wyszłaś raptownie z pokoju i trzasnęłaś drzwiami.
- Tak. Bo Klaudia nie powinna nadmieniać przy mnie słowem o Aiyshy. Taka była między nami umowa.
- Umowa? Dlaczego?
- Przepraszam, ale chciałbym was poprosić o chwilę uwagi – usłyszeliśmy nagle za naszymi plecami głos Le Parda. Całkiem nas to zaskoczyło. Ale cóż było robić? Musiałem powstrzymać moją ciekawość.

Le Pard poprosił, abyśmy osobiście pożegnali pewną opuszczającą już przyjęcie parę – rzekomo jego wpływowych przyjaciół. Myślę jednak, że bardziej chodziło mu o zwrócenie na siebie naszej uwagi, jakiej on, nasz dobroczyńca, z naszej strony zbyt długo uchodził. I o postawienie tym samym kropki nad „i” w akcie jego oskarżenia: „Przyłapałem was na gorącym uczynku – mógł teraz powiedzieć. – Zachowywaliście się rzeczywiście jak para narzeczonych. Teraz już nie możecie temu zaprzeczyć.”

„Nie możemy” – chciałoby się powiedzieć w akcie jakiejś samoobwiniającej obrony, mając nadzieję, że w ten sposób uda się jeszcze złagodzić wymiar czekającej nas kary. Ale szkoda

było trudzić sobie język. Nasz los był w jego oczach z góry przesądzony.

Pamiętam jeszcze, że pokazał nam naszą sypialnię – pięknie, przestronnie urządzone, ogromny pokój z łóżem, w którym wygodnie mogłoby spać z pięć osób. A potem film mi się urwał.

Następnego dnia obudziłem się z bólem głowy. Leżałem tuż przy Atai, z ręką opartą o jej lewy bok. Ona sama leżała w podwyższonej pozycji, z plecami opartymi na poduszce i głową na szczytowej, drewnianej obudowie łóżka. Wpatrywała się we mnie bardzo smutnym wzrokiem. Jej piękne, niebieskie oczy wydawały mi się być jeszcze większe niż zazwyczaj, ale jednocześnie jakoś nienaturalnie przygaszone, jakby pozbawione swojego blasku. Dopiero po chwili stwierdziłem, że jej twarz nosiła w wielu miejscach ślady świeżych zadrapań. Poniżej ucha miała na szyi duży siniak. Jej włosy były całkowicie zmierzwiłone.

Odkaszlnąłem i spytałem z lekka jeszcze zachrypniętym głosem:

– Co się stało?

Dopiero teraz poczułem, że piecze mnie cała okolica odbytu, a moje genitalia zdają się być jakoś nieprzyjemnie podrażnione.

Ataja zamiast mi odpowiedzieć podniosła spokojnym ruchem koszulę nocną i wskazała wzrokiem na poblizsze swojego łona. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o co jej chodzi, ale kiedy poszedłem za jej spojrzeniem, ujrzałem przerażający widok. Włosy w jej kroczu były jakby całkowicie wypalone, a skóra czerwona i częściowo poraniona, jak po ciężkim oparzeniu. Kiedy koszulę podniosła wyżej i pokazała mi swoje piersi, łyzy stanęły mi w oczach. Wprawdzie prawa pierś miała tylko kilka czerwonych plam, jak po świeżych poparzeniach, lewa jednak była tak zniekształcona i poraniona, że swoim wyglądem bardziej przypominała kupa różowo-czerwonego mięsa niż pierś. W jej okolicy miała też mnóstwo większych i mniejszych ranek. Trudno sobie w ogóle było wyobrazić, jak mogły powstać takie

okaleczenia.

– Czy to boli? – spytałem, ledwo dobywając z siebie głos.

Kiwnęła nieznacznie przytakująco głową.

– Dlaczego się nie broniłaś?

– Bo byś mi nie uwierzył.

– W co nie uwierzył?

– W to, jaki jest Le Pard.

– To był Le Pard? Nic nie pamiętam.

– Bo dostałaś pigułkę gwałtu.

– Pigułkę gwałtu?

– Tak. Kiedyś się mówiło „głupiego jasia”.

– To znaczy?

– Rodzaj narkotyku. Żebyś nie oponował i nie pamiętał.

– I... ja ci to zrobiłem?

– Ty właściwie nie.

– Co to znaczy „właściwie”?

– Najpierw byłem z tobą w tym łóżku. Kiedy potem już zupełnie straciłaś panowanie nad sobą...

– Co to znaczy?

– To znaczy, że przestałaś się kontrolować. Pod wpływem tych środków. I reagowałaś na bodźce natury erotycznej bez żadnego zażenowania czy oporów...

– I na ciebie też? A ty?

- Co ja?
- Ty też dostałaś... tę pigułkę?
- Ja nie.
- Dlaczego?
- Bo...
- Co?

Ataja najwyraźniej usiłowała coś przede mną ukryć.

- Bo co?
- Nie mogę ci powiedzieć. Nie teraz.
- Rozumiem – skomentowałem, choć nie rozumiałem. I nawet nie usiłowałem zrozumieć. Oczy miałem już tak zażawione, że co chwila musiałem je przecierać, żeby w ogóle coś widzieć.
- A ja na ciebie... Reagowałem na ciebie bez zażenowania?
- Na mnie też. Ale ja byłem tylko, że się tak wyrażę... To była noc poślubna Le Parda. Le Parda z tobą. A ja... Moje... łono służyło mu tylko jako środek do mechanicznego osiągnięcia orgazmu. Bodźcem erotycznym byłeś ty.
- I... jak to wyglądało?

Moje łzy utworzyły strużkę na jej poranionym brzuchu.

- Oj przepraszam – powiedziałem i wytarłem je moją piżamą, a Ataję z powrotem delikatnie okryłem aksamitną nocną koszulą, jaką jej zapewne szczodrobliwie Le Pard podarował, bo Ataja nie miała tu przecież swojej ze sobą, a poza tym sama z siebie przebierała się zawsze na noc w standardową, flanelową piżamę, a nie w aksamitną bieliznę.
- Leżałam podkulona na piersiach, z wypiętą...

- Pupą – skończyłem za nią.
- Pupą – powtórzyła, a na jej twarzy pojawił się lekki, przyjazny uśmiezek. – I on to robił, a mnie kazał przy tym... bo ty siedziałeś z przodu, przed moją głową... – Ataja pokazała mi to miejsce z przodu łóżka.
- No i co? Co on kazał?
- Ach... Mniejsza o to, Slim.
- Chcę wiedzieć. Powiedz mi.
- Ale żebyś potem nie żałował.
- Ja nie będę żałował. Ja go po prostu zabiję.
- Ty go zabijesz? – powtórzyła cicho.
- Chyba że ty to zrobisz przede mną... Co on ci jeszcze zrobił? Co ci kazał? Powiedz mi.
- Kazał mi... kiedy leżałam tak wypięta na łokciach, zrobić to u ciebie ustami. On chciał cię widzieć w konwulsji orgazmu w momencie, kiedy sam go przeżywał.
- Gwałcił cię jednocześnie od tyłu.
- Tak.
- Dlaczego się na to zgodziłaś?
- Po pierwsze: musisz coś wiedzieć, czego jeszcze nie wiesz. Ja jestem zależna od ciebie, od twojej woli, od... stanu twojej świadomości. Gdy przestajesz nad sobą panować, gdy bierze w tobie górę pierwiastek zwierzęcy ludzkiej natury – ja tracę moc. Po drugie: mogłabym w ogóle nie dopuścić do tego całego porwania i tej farsy ze ślubem, weselem i tym... Tym, co stało się dziś w nocy...
- Tym, co stało się w naszą noc poślubną.

– Właśnie. Ale to było moje zadanie.

– Dobrze, ale... Co się stało potem? Kto cię tak poranił? Le Pard?

– Nie Le Pard osobiście. Kiedy mnie zgwałcił...

– Na moich oczach i z moim udziałem. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Przestań, Slim. To nie twoja wina.

– Może i nie moja. Ale jest mi strasznie smutno i czuję się fatalnie. Kto cię tak pokaleczył? Czy to też odbyło się przy moim udziale? Potrzebujesz natychmiastowej pomocy...

– Pomoc jest już w drodze. A to – powiodła wzrokiem po swoim do niedawna jeszcze tak pięknym ciele – nie byłeś ty. Kiedy to się ze mną działo, ciebie przy tym nie było. Ty zostałeś tutaj sam na sam z Le Pardem. A mnie Le Pard oddał swoim ludziom.

– I co?

– No i dopiero wtedy się zaczęło. To ludzie pozbawieni jakichkolwiek skrupułów. Gwałcić i mordować to ich hobby. To, co ze mną tam zrobili, to robią z innymi na co dzień. Oni torturują i gwałcą bezbronne dzieci. Widziałam może czternastoletniego chłopca, którego powiesili na jego własnych genitaliach za karę, że nie chciał dobrowolnie wziąć udziału w gwałcie jego własnej, porwanej z nim siostry.

– I co się z nim stało?

– Nie wiem. Ale co się mogło stać? Wykrwawił się pewnie i w mękach umarł.

– Nie mogłaś zareagować...

– Slim, ja nie mogę w pojedynkę ocalić całego świata. Przynajmniej jeszcze teraz nie. Moim zadaniem jest chronić ciebie. Po to, żebyś dał świadectwo i żeby ten świat był

kiedyś inny.

– A co oni... zrobili potem z tobą?

– Zrobili ze mnie tarczę, w którą celowali tymi lotkami, zakończonymi metalowymi szpikulcami...

– Rzutkami do darta?

– Tak, chyba tak. Środkiem tarczy była moja lewa pierś. Ale ponieważ mam – jak się wyrazili – zbyt jędrną skórę, musieli ją zmiękczyć. Wylali na moją pierś parę litrów wrzątku, a potem urządzili sobie zawody. Zawody o mnie. Ten, któremu by się udało wbić jak najwięcej lotek w mojego sutka lub w jego najbliższą okolicę, ten miał mnie dostać na resztę nocy...

– I kto cię dostał? – szybko zadałem jej następne pytanie, aby ukryć przed nią moje wzrastające roztrzęsienie i historycznie powzięty plan, żeby Le Parada spalić natychmiast na stosie z jego własnym penisem, wetkniętym w jego własny odbył. Od ataku wściekłości albo jakiegoś nagłego spazmu powstrzymywał mnie jedynie spokój Atai, jej równowaga – tak jakby omawiała ze mną właśnie listę zakupów na weekend. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak ją kocham.

– Taki wielki grubas – odparła po chwili spokojnie. – Pewnie będziesz miał okazję go jeszcze spotkać.

– I co on ci zrobił, oprócz tego, że cię zgwałcił?

– Najpierw wypalił mi włosy w kroczu, a potem, kiedy już mnie raz zgwałcił, zaczął mi przypalać skórę, co do tak podnieciło, że znowu brutalnie mnie zgwałcił. Potem już chwilowo nie mogłem, więc wpuścił dwóch innych typów, a potem zaczął mnie bić bez powodu i znowu zgwałcił.

– I ty mówisz to wszystko tak spokojnie? Nie zwijając się z bólu?

– Po pierwsze dali mi po tym wszystkim silne środki

przeciwbólne i uspokajające, żebym w ogóle mogła zasnąć i żebyś mnie, swoją narzeczoną, jak im się wydaje, znalazł koło siebie w łóżku. Wiesz, taka niespodzianka dla ciebie. Ty zresztą zapewne również dostałeś środki uspokajające.

– A po drugie – kontynuowała – jak może się orientujesz, potrafię świadomie wpływać na moje odczucia, również na ból, zwłaszcza kiedy ty jesteś w okolicy. Muszę jednak przyznać, że rozmiar ich zbrodni, ich niepohamowany sadyzm... mnie też zaskoczył. Byłam w pewnej mierze przygotowana na to, co się stanie, wiedziałam, że to banda przemytników i handlarzy ludźmi, zwłaszcza dziećmi, ale nie spodziewałam się wśród nich takich skrajnych psychopatów i sadystów. Myślałam już, że nie wytrzymam i w pewnym momencie chciałam uciec. To nie są zwykli mężczyźni. To są zbrodniarze, wśród których prym wiedzie Le Pard. Jego filozofia jest prosta: kto pracuje na jego zlecenie, temu nie wolno kochać. Nikogo. Wolno bić, wyżywać się, gwałcić, torturować, ale nie wolno się zakochać. Jakąkolwiek oznakę współczucia można przypłacić natychmiastowym wykonaniem na sobie wyroku. Tylko on, Le Pard, ma prawo do współczucia. I okazuje je czasem innym mężczyznom. Ma do swojej dyspozycji paru chłopców, którym dobrze czyni, jak mu się wydaje. I dlatego... ta cała farsa. Ma nadzieję, że może stanie się teraz twoim pocieszycielem... Zresztą nie jestem pewna, co on zamierza. Ale jak myślisz, dlaczego ktoś morduje swoją własną matkę? Nie tylko Le Pard jest homo, również jego matka.

– Homo? Matka homo?

– Tak. To znaczy nie-hetero. Myślę, że ta kobieta nigdy nie okazała mu miłości. Nigdy go nie przytulała. A jedyną metodą jej wychowania była zimna kalkulacja. Nie usprawiedliwia jej jednak fakt, że od środka sama była facetem. Każda matka ma obowiązek kochać swoje dzieci. Ale jego matka traktowała go w gruncie rzeczy jak macocha. Z kolei jego ojciec całe życie mu wpajał, że kobiety są jedynie koniecznym złem na tym świecie. I wpajał mu pogardę dla jakichkolwiek uczuć. Wszystko było u



niego podporządkowane interesom, a sfera uczuć ograniczała się do folgowania swoim sadystycznym kaprysom. Jego syn nigdy nie cierpiał w samotności, zawsze miał na swoje usługi grono dziewcząt i chłopców, w którym szkolił się w roli cynicznego herszta i gwałciciela. Bardzo wczesnie spostrzegł, że woli facetów. I kiedy razem z grupą koleśków zgwałcił swoją własną siostrę, a matka stanęła potem w jej obronie, osobiście poderżnął jej gardło. Ten sam los spotkał jego siostrę. Potem jego ojciec, Le Pard senior, wszystko zatuszował. Znalazł wśród swoich ludzi ofiarę, kogoś, kto poszedł za jego synalka siedzieć. Poza tym... Le Pard junior musiał dawać sobie radę sam. Ojciec wychowywał go wedle słusznej poniekąd zasady, że po dwudziestce musi się już jakoś samodzielnie utrzymać. Z rozboju i przemytu.

– Dobra – przerwałem jej dość niecierpliwie. – Resztę opowiesz mi potem. A teraz... musisz iść do szpitala. I to jak najszybciej. Coś musimy zrobić.

– Slim, to chodzi o ciebie. Czy myślisz, że pozwoliłabym na to wszystko, gdyby to nie chodziło o ciebie? Teraz mają cię w swoich rękach: homo-psychopata Le Pard i jego banda. Po pierwsze muszę cię więc stąd wydostać...

– Ty? W tym stanie?

– Tych parunastu osiłeków to nie jest dla mnie taki problem. Ty jesteś problemem. Bo to ciebie chce mieć dla siebie Le Pard. I to ciebie nie będzie tak łatwo wydostać z jego łap.

Mówiła teraz bardzo cicho. I choć starała się to przede mną ukryć, mówiła z wielkim wysiłkiem. Najwyraźniej nie była w szczycie swojej formy. Nawet gdyby jej się tak wydawało.

– A po drugie? – spytałem spokojnie po krótkiej przerwie.

– Po drugie?... No tak, z Le Pardem musimy zrobić porządek. Trzeba ich zrównać z ziemią, ponieważ to bardzo niebezpieczni przestępcy.

– Mówisz o przyszłości, a ja o tym, co będzie za chwilę. Co będzie, jeżeli oni będą cię chcieli zatortuować na śmierć? Nadal nie będziesz się bronić w imię moje?

– Muszę być ostrożna, dopóki ty znajdujesz się w niebezpieczeństwie.

Kiedy kończyła wypowiadać te słowa, rozległ się gong, po czym otworzyły się drzwi i w środku naszego „salonu” znalazł się potężny i mocno grubawy typ, którego już przedtem parę razy przelotnie widziałem. Spojrzał na Ataję i niemal krzyknął:

– Ach, tu jesteś!... Dzień dobry – spojrzał teraz też na mnie. – Jak ci się spało?

Czekaliśmy w milczeniu na dalszy ciąg.

– Wiesz, André, że ona ci przyprawiła rogi? W noc poślubną! Kiedy ty poszedłeś spać, wlaźła mi do łóżka. Ona jest niewyżyta. Gdybyś ją widział wczoraj w akcji! Najpierw zabrała się do ciebie, a kiedy miałaś już dosyć, dobrała się do mnie. Więc dziś znowu przychodzę ci na ratunek.

Następnie bez pardonu ściągnął z niej kołdrę, pociągnął ją mocno za rękę, tak że wypadła na podłogę, po czym, kiedy się podniosła, położył jej swoją wielką łapę na podbrzuszu i powiedział:

– Choć, pokażemy André, jaka naprawdę jesteś.

Wtedy ja również wstałem, podszedłem do niego z ukosa od tyłu i z całej siły kopnąłem go w siedzenie. Jako że prawie nie drgnął, podszedłem szybko do krzesła, stojącego przy małym stoliku pod ścianą, walnąłem nim o podłogę, a następnie, wzięwszy w rękę jedną z jego ciężkich, drewnianych nóg, zacząłem zmierzać w jego kierunku. Odchylił się nieco do tyłu, ale rękę nadal trzymał na brzuchu Atai.

– Zabieraj od niej te łapy! – krzyknąłem.

A ponieważ nie zareagował, uderzyłem go w bark trzymaną w prawej ręce nogą od krzesła. Spojrzał na mnie, jakbym wyrządził mu jakąś całkiem niezasłużoną krzywdę, po czym złapał Ataję za włosy i uderzając nią z całej siły o ścianę, powiedział:

– Z powodu tego kawałka ścierwa?

W chwilę potem wparowało do pokoju dwóch uzbrojonych typów. A zaraz po nich Le Pard. Ataja siedziała na podłodze pod ścianą z rozkrwawionym teraz jeszcze dodatkowo nosem.

– Cały i zdrowy? – zwrócił się do mnie Le Pard. – To zdążyliśmy jeszcze zapobiec nieszczęściu. Co ona ci zrobiła, ta dziwka! W noc poślubną! Obsłużyła wszystkich moich ludzi. Aż trafiła kosa na kamień – aż trafiła na mnie.

Le Pard, wypowiadając te słowa, podał mi rękę (ja jemu oczywiście nie), a następnie podszedł do Atai.

– Ze mną ci się nie udało, co? Musiałem się bronić siłą.

Le Pard mówił tak przekonująco, był tak dobrym aktorem, że gdyby Ataja nie zrelacjonowała mi wcześniej przebiegu wypadków, gotów byłbym mu uwierzyć.

– Zabierzcie ją stąd! – zwrócił się do swoich ludzi, stojąc jeszcze koło Atai.

– Nie! – krzyknąłem. I podszedłszy szybko do niego, pchnąłem go mocno na ścianę. – Zostaw ją w spokoju!

Niemal natychmiast dryblas rzucił się na mnie i złapał mnie od tyłu, wykręciwszy mi rękę. Na to Ataja podniosła się powoli i bezgłośnie, jak czający się do skoku tygrys, i zanim tych dwóch uzbrojonych typów zdołało rozeznaczyć w sytuacji, złapała Le Parda i pociągnęła do siebie za szyję, jakby to był mały chłopczyk, po czym tak go przydusiła, że natychmiast zaczął tracić oddech. Powiedziała:

– Jeden nierozsądny ruch i złamię mu kark.

Le Pard próbował jej się wyrwać, chaotycznie wywijając przy tym w powietrzu rękami, ale z powodu swojego bardzo małego wzrostu i trzymającej go od tyłu prawą ręką pod podbródkiem Atai, wisiał na poły w powietrzu. Usiłował przy tym, stając na palcach, podciągnąć się do góry, chcąc w ten sposób jakoś przeciwstawić się sile jej obezwładniającego uchwytu. Kiedy jednak ponownie się podkurzył, zgiąwszy kolana, i próbując prawdopodobnie całym ciężarem swojego ciała zawisnąć na ręce Atai, którą to rękę usiłował jednocześnie swoimi nieproporcjonalnie dużymi dłońmi odciągnąć od własnej szyi, wyglądało to trochę tak, jakby natychmiast musiał skorzystać z toalety, tym bardziej, że stał już się niemal ciemnoczerwony z wysiłku. W tym momencie dryblas zwolnił mnie więc z uścisku i rzucił się mu na pomoc. Na to Ataja właśnie czekała. Kiedy zbliżył się do niej na odpowiednią odległość, Ataja, nie wypuszczając Le Parda z uścisku, kopnęła go na wysokości klatki piersiowej błyskawicznym wyrzutem nogi z takim impetem, że odparował od niej jak rakietą na jakieś cztery metry i padł z głuchym łoskotem jak długi.

– Odłóżcie broń – powiedziała do tych dwóch uzbrojonych typów.

– Albo policzę do trzech i skrucę mu kark.

A ja dodałem:

– Połóżcie swoje karabiny dwa metry przed sobą na podłodze.

Obydwaj mieli przy sobie jakieś krótkie karabiny maszynowe. Kiedy jednak przez chwilę się wahali, Ataja popuściła Le Parda nieco z uścisku, aby mógł złapać głębszy oddech (martwy Le Pard byłby bezużyteczny), i wtedy, robiąc gest lewą ręką, powtórnie im nakazała, żeby położyli broń na podłodze. W jej geście była jakaś siła, której natychmiast z uległością się poddali. Podniosłem karabiny i podszedłem z nimi do Atai. Jeden z nich wcisnąłem jej do wolnej, lewej ręki, a ona, sprawdzwszy, czy jest odbezpieczony, przyłożyła lufę do głowy

Le Parda.

– Jak się to obsługuje? – spytałem, pokazując jej trzymany przeze mnie karabin. A ona, odjąwszy lufę od jego skroni, powiedziała:

– Tak – i puściła serię w kierunku łoża, w którym jeszcze przed paroma minutami sami się znajdowaliśmy. Leżąca na nim kołdra podskoczyła parę razy konwulsyjnie, jakby była jakąś żywą istotą, a w chwilę potem w powietrzu uniosła się spora chmura pierza.

– Puchowa – powiedziałem trochę bez sensu, na co Ataja, uśmiechnąwszy się, odpowiedziała:

– To zostawimy mu jedno jajo.

Roześmiałem się.

– Co dalej? – spytałem.

– A jak myślisz?

– Przydałby się helikopter.

– To jest myśl. Ale najpierw zadzwoń po Klaudię. Jest w okolicy.

– To dlaczego sama nie wpadnie na pomysł, żeby nas odwiedzić?

– Nie jest telepatką. Poza tym na ogół daję sobie radę bez niej.

– Jesteś strasznie błada.

– Wiem. Czuję coś. Chyba nie jest ze mną najlepiej.

– To dobrze. To znaczy, że jednak nie jesteś jeszcze robotem.

Przeszukałem kieszenie mojej kurtki, potem torebkę Atai, ale po mojej komórce nie było śladu.

– Nie mam. Zabrali mi.

– To dość logiczne – szepnęła pod nosem, po czym popuściła Le Parda na tyle z uścisku, żeby mógł swobodnie stanąć na podłodze.

– Gdzie są nasze telefony? – spytała i dźgnęła go lufą w policzek.

– Nie wiem – wypaplał niewyraźnie, ale być może zgodnie z prawdą.

– To daj mi swój – powiedziała, po czym nagle tak osłabła, że popuściła go z uścisku, a jej lewa ręka, trzymająca karabin, niemal bezwładnie opadła w dół. Jednym susem podskoczyłem do nich i zdążyłem jeszcze rzucającemu się do ucieczki Le Pardowi przyłożyć karabin do pleców i powiedzieć:

– Ani kroku!

A wtedy Ataja osunęła się bezsilnie wzdłuż ściany, przy której stała. Potrzebowałem dla niej natychmiastowej pomocy. Musiałem szybko działać.

– Daj mi swój telefon – syknąłem stanowczo do Le Parda.

– Nie mam.

– To ktoś z nich – wskazałem głową na stojących koło drzwi typów.

Bez Atai czułem się niepewnie. Trzymałem co prawda palec na cynglu, ale nie wiem, czy ośmieliłbym się za niego pociągnąć – nigdy nie miałem broni w ręku, przynajmniej nie w tym życiu (nie licząc oczywiście służby zasadniczej ze sprzętami z demobilu). Gdyby więc Le Pard wpadł na pomysł, żeby ode mnie po prostu odbiec, sam nie jestem pewien, co bym zrobił.

Na szczęście jednak Le Pard, po tym jak z wściekłością kujnąłem go w plecy lufą, kiwnął na jednego ze swoich ludzi.

Ten chciał do nas podejść, ale powiedziałem, żeby się zbliżył co najwyżej na dwa metry i szurnął mi swoją komórkę po podłodze. Podniosłem ją ostrożnie, zginając nogi w kolanach i nie spuszczać palca z cyngla, a Le Parda mając cały czas na lufie. Lewą ręką wybrałem międzynarodowy numer Klaudii (był bardzo łatwy do zapamiętania, znałem go więc na pamięć).

– Tak – usłyszałem po chwili jej znajomy, miękki głos.

– Jest bardzo kiepsko. Ataja potrzebuje natychmiastowej pomocy. Leży koło mnie nieprzytomna na podłodze.

– A ty? Co z tobą?

– Trzymam spluwę na plecach Le Parda. W pokoju znajduje się jeszcze trzech innych typów. Jeden z nich leży na podłodze i się nie porusza...

– Gdzie jest ten pokój?

– Jak to gdzie? Tu u Le Parda.

– To wiem. Które piętro?

– Pierwsze.

– Jakie położenie?

– To znaczy?

– Ty chyba nie byłeś w wojsku... Od ogrodu, od frontu?

– Od ogrodu, to jest taka wielka sypialnia albo pokój gościnny... dla narzeczonych.

– A ogród jest... od południa? – w głosie Klaudii wyczułem przynajmniej lekkie rozbawienie.

– Chyba od zachodu. Albo od południa. Co cię tak bawi?

– Ty.

– Dlaczego?

– Śmieszny jesteś. Wyobrażam sobie, jak wyglądasz z bronią wycelowaną w głowę Le Parda.

– W plecy. I ręce o dziwo mi nie drżą. Ale... Ataja. Ona... ona się nie rusza. Leży bezwładnie.

– Nie martw się o nią. Zajmiemy się nią. Jej nic nie będzie. Ale pamiętaj, to tobie nie ma prawa się nic stać. Będę tam za dwadzieścia minut. Jesteśmy w drodze.

– Jesteście? – zaintonowałem, bo nie wiedziałem, dlaczego mówi w liczbie mnogiej.

– Tak, na dziś i tak była zaplanowana obława na Le Parda.

Klaudia rozmawiała ze mną po polsku. Nie było więc obaw, że ktoś nas podsłucha.

– A gdybyś przypadkowo nie była w drodze?

– Nie gdybaj. Ja zawsze jestem w drodze.

– To czekam.

– Aha, komórka, przez którą rozmawiasz...

– Pożyczyłem ją od jednego z tych zbirów...

– Pożyczyłeś?

– Tak można to nazwać.

– Postaraj się ją zachować.

– Dobra...

– Zaraz jesteśmy u was.

Nie wiedziałem wprawdzie jeszcze, jak mam ich przez dwadzieścia minut utrzymać w szachu... A przy tym miałem dość



nieodparte wrażenie, że życie Atai wisi na włosku. Na domiar złego, kiedy tylko skończyliśmy rozmawiać, dryblas zaczął się przebudzać. Do tej pory, po tym jak Ataja zwała go z nóg, leżał nieruchomo jakieś trzy metry przede mną i Le Pardem.

Po chwili usiadł i rozejrzał się wokoło. Potem wstał. Jego już dosyć przytomne spojrzenie padło teraz na Ataję.

– Co z tą suką? Wywinęła kitę? – wybełkotał.

Z pytaniem tym zwrócił się do jednego z tych dwóch rozbrojonych typów, stojących w drugim końcu tej niby sypialni, koło drzwi. Zrobił też krok w ich stronę.

– Stój, gdzie jesteś, bo rozwalę mu łeb – powiedziałem.

– Okay, nic nie robię. Muszę tylko rozprostować kości.

– Jak to się stało? – zwrócił się teraz do Le Parda.

Le Pard spojrzał na niego złowieszczo, robiąc lekki, sceptyczny ruch głową, tak jakby chciał powiedzieć „potem się policzymy”, a w odpowiedzi rzucił tylko krótko:

– Dowaliła ci.

– To ścierwo?!

Le Pard nie zareagował. Nie wiedział jeszcze, jak się sytuacja rozwinie, a przed Atają – choć leżała teraz nieruchomo na podłodze – nabrał z pewnością respektu. Nie próbował nawet zerknąć w jej stronę, jakby się obawiając, że mogłoby to wybudzić ją z letargu.

Po chwili jeden z tych dwóch rozbrojonych typów odezwał się do mnie:

– Ja nie mogę dłużej. Muszę do kibla.

Zastanowiłem się chwilę i odparowałem:

– Sraj w gacie!

– Ja wychodzę! – rzucił odważnie, podchodząc jednocześnie do drzwi i naciskając kławkę.

Nie wiedziałem, co zrobić. Gdybym się odważył postrzelić Le Parda (w co wątpię), straciłbym „zakładnika”. Odruchowo więc skierowałem broń na tego śmiałka, który zamierzał opuścić pokój.

– Stój! – powiedziałem.

W tym samym momencie Le Pard rzucił się do przodu i w ułamku sekundy schował na dryblas. Ten zaś, wykorzystując fakt, że jego szef nie znajduje się już w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, błyskawicznie wytrącił mi z ręki karabin i mnie obezwładnił. Byliśmy znowu w ich rękach.

Dryblas podszedł do Atai i zaczął z wściekłością kopać jej bezwolne ciało. Połamał jej lewą rękę i obie nogi w kolanie, kopał ją w brzuch, w głowę, w krocze, aż ją tak zmasakrował, że trudno ją było w pierwszej chwili w ogóle rozpoznać. Rzuciłbym mu się pod nogi, ale byłem trzymany przez tych dwóch wcześniej rozbrojonych ludzi Le Parda (ten, który wyszedł „do kibla”, prawie natychmiast powrócił), więc nie dawało mi to najmniejszych szans na jakąkolwiek ingerencję w obronie Atai.

– Starczy – powiedział Le Pard. – Zawieźcie go do El Pain. A ją opatrzcie, jeżeli jeszcze żyje. Chcę ją trochę podtuczyć – podniósł głos i spojrzał na mnie – zanim zaserwujemy ją naszym pieskom. Zasłużyły sobie na to. Ale trzymajcie ją pod ścisłym nadzorem.

Ci dwaj popuścili mnie z uścisku i stanęli z gotowymi do strzału pukawkami w pobliżu Atai. Dryblas kazał mi pójść przodem przed sobą w kierunku drzwi.

– Zaraz po nią wrócę – zwrócił się do Le Parda. A do mnie powiedział:

– Otwieraj drzwi, na co czekasz!

Za drzwiami czekała jednak na niego niespodzianka. Stała w nich Klaudia w towarzystwie potężnie, choć na pierwszy rzut oka „niewinnie” wyglądającego faceta w więcej niż średnim wieku. Można by sądzić, że zawodowo trudni się czymś w rodzaju nałogowego przesiadywania za biurkiem w jakiejś małej firmie buchalterskiej albo transportowej, gdzie się cały dzień przegląda papierki i obgryza ołówki. Człowiek ten jednak, przepuszczony do przodu przez Klaudię, zadał z nagłą idącemu za mną dryblasowi tak potężny cios w gębę, że tamten nawet nie zdążył mrugnąć okiem, zanim padł jak długi. Już drugi raz dzisiaj. Tych dwóch pozostałych typów także powalił na ziemię, wyrzucając w powietrze krótkim, jednoczesnym ruchem obu dłoni coś, czego nawet nie zdążyłem wzrokowo zidentyfikować. Klaudia zaś także rzuciła coś w kierunku Le Parda; i to coś nie rokowało mu zanadto wielu szans na przeżycie.

– Pardon Slim, ale nie możemy ryzykować – rzuciła do mnie krótko, jakby chciała mnie przeprosić, gdybym ich metody działania uznał być może za zbyt brutalne. Tym razem jednak nie miałem jej tego za złe. Powiedziała do mnie:

– Przedstawiam ci Magana Laja. Poznałeś go jako szefa wywiadu w Heterolandzie. Ale pewnie sobie go z wyglądu nie przypominasz.

Magan wyciągnął do mnie rękę, Klaudia zaś podeszła do Atai:

– Biedactwo – powiedziała.

Po chwili wykonała na niej rodzaj zabiegu, trzymając w ręce jakiś przedmiot, który z wyglądu przypominał coś pomiędzy strzykawką, telefonem komórkowym i małym pistoletem.

– Muszę skombinować jakieś nosze – powiedziała.

– Okay, poczekamy – rzucił Magan.

Klaudia wyszła.

- Czy ona to przeżyje? – spytałem go, wskazując na Ataję.
- Przeżyje, ale nie bez szwanku. Jeżeli będzie chciała.
- Co to znaczy „jeżeli będzie chciała”?
- Slim, musisz wiedzieć, my poświęcamy się dla wspólnej sprawy. Ataja wiedziała, co ją tu czeka. Więc jej ciało... nie jest dla niej takie ważne.
- Co to znaczy? Że otrzyma nowe ciało?
- Teoretycznie byłoby to możliwe. Ale nie jest to konieczne. Ataja chciała się poświęcić dla sprawy.
- Bandydzi.
- To jest tylko czubek góry lodowej.
- To znaczy?
- To znaczy, że ten świat znajduje się w rękach organizacji mafijnych, które się zwalczają. My wiemy o tym od dawna. Ale tobie... chcieliśmy lepiej to uświadomić. Przy czym za mafijną uznajemy organizację lub instytucję, która nie kieruje się przede wszystkim dobrem ogólnym, lecz swoim własnym. To samo dotyczy ludzi. Mafiozo to ludzie nie widzący granicy dla swojego egoizmu...
- Ale dlaczego mnie? Dlaczego mnie chcieliście to uświadomić? Dlaczego sobie mnie wybraliście? Jestem zwykłym człowiekiem. I z mojego powodu... – byłem cały czas tak zszokowany tym, co ten dryblas zrobił z Atają, że nie mogłem dalej normalnie rozmawiać, bo nadal znajdowałem się w stanie kompletnego wewnętrznego roztrzęsienia. Podeszedłem teraz do Atai i położyłem się koło jej pokrwawionego ciała. Oddychała prawie że niewyczuwalnie. Objąłem delikatnie jej głowę, jakby chcąc ją przed czymś uchronić. Magan podeszedł do mnie i ściszym tonem kontynuował:

– Bo... jakby ci to powiedzieć? Nadchodzi wiosna. Śniegi topnieją. I pierwsze pąki pojawiają się na śpiących pędach. Kto nadal ukrywa się w swojej jaskini, ten nie wie nawet, że wokół wszystko się zmienia. Ty wyszedłeś z jaskini.

– Ładnie powiedziane.

– Sam to powiedziałaś.

– Ja?... Kiedy?

– W innym wymiarze. Nazwijmy to – w relatywnej przyszłości.

– Dobrze. Powiedz mi, co dalej. Jak potoczą się dalej wypadki?

Siedziałem teraz dosyć bezwolnie na własnych piętach, przechylony na bok i podparty prawą dłonią, i wpatrywałem się w twarz Atai, oczekując jakby z jej strony jakiejś oznaki życia.

– Teraz – zaczął znowu Magan – jesteś na muszce.

– Na muszce?

– Tak można to nazwać. Le Pard nie żyje. Ale Le Pard senior ci tego nie wybaczy. Naraziłeś się całemu systemowi władzy. Będą starali się ci zablokować wszystkie przejścia do centrum...

– Zaraz, ale przecież... możecie to wymazać z ich pamięci. Mówiła mi Klaudia. I zatrzeć wszystkie ślady.

– Nie wszystkie ślady dadzą się zatrzeć. I nie zawsze.

– Dlaczego?

– Wszystko zależy od woli Najwyższego.

– Rozumiem – skwitowałem, chociaż wtedy jeszcze chyba niewiele rozumiałem. – I co dalej?

– To początek kosmicznej wiosny ludów. Rewolucja w ewolucji. Ostatnia, decydująca selekcja na ringu przeznaczenia. Ale oni,

ci ogoniaści cichociemni, którzy za tym stoją i wszędzie mają swoich przekupionych sędziów, z nami nie wygrają. Mamy nad nimi zbyt dużą przewagę. Przynajmniej taką, jaką oni nad zwykłymi ludźmi. Tylko że oni o tym nie wiedzą. Im się zdaje, że ich władza jest w tym świecie nieograniczona. Nasza bezpośrednia interwencja w tym wymiarze pociągnęłaby jednak za sobą zbyt daleko idące konsekwencje. Otworzyłaby się brama, którą tutaj także inni mogliby otwarcie wchodzić. Nie tylko ci dobrzy. Także sprzymierzeńcy Le Parda i innych mafiozo. Rozumiesz? My trzymamy najważniejsze przejścia w swoich rękach. Oczyszciliśmy je. Ale nie możemy ich jeszcze otworzyć.

– Wy – to znaczy kto?

– Nie wspominała ci o tym Klaudia?...

– Biała flota?

– Dokładnie.

– A co to jest Biała Flota?

– To ty, ja, Klaudia, Ataja w obecnym wcieleniu. To są ci, którzy kiedyś tam poprzysięgli na zawsze wierność Najwyższemu i Królowej. Czyli naszym duchowym rodzicom. I protoplastom. My gotowi jesteśmy na wszystko. Bo mamy o co walczyć.

– A ja?... Co ja mam z tym wspólnego? Oprócz tego, że mam pisać pamiętnik...

– Twoje zadanie polega na neutralizacji negatywnych energii.

– To znaczy?

– To zadanie jest złożone i bardzo... wielopoziomowe. Najprostszy przykład: przez to, że ludzie czują się poruszeni okalającą cię hiperwibracją, zaczynają tęsknić za innym wymiarem miłości, za tym wymiarem, który jest w tobie. Ty z kolei jesteś chroniony wibracjami Najwyższego, inaczej mówiąc, szczególną łaską. Kiedy ci ludzie się z tobą wewnętrznie

wiążą, przechodzą na nich te wibracje, ta łaska. Bo zakochali się w obecnej w tobie i świadomej swojego pochodzenia i związku z Najwyższym wibracji. W Jego rycerzu z jednostki doborowej, w Jego małym księciu z insygniami anioła. I przez to, że uświadamiasz sobie ich istnienie, istnienie tych nadprzyrodzonych – jak to się u was mówi – sił, jesteś jakby detektorem negatywnych mocy. Nie mogą cię osiąść, nie mają się jak w ciebie wśliznąć.

– A mnie się wydaje, że ja czuję i wiem tak niewiele... Jak to jest możliwe, że ja się im jestem w stanie przeciwstawić?

– To nie ty. Nie ty fizyczny. To twoja świadomość. Poczucie i świadomość związku z energią praźródła. Czyli twoje najczulsze serce, serce otwarte kataraktycznym dotknięciem Pana stworzenia...

– Dlaczego ja... mam to poczucie?

– Bo jesteś czysty. Relatywnie bardzo czysty, nieskażony. Jesteś małym księciem na dworze króla wieczności. I dlatego masz pragnienie życia w czystości. Na tym polega twój paradoks. Ty, który mógłbyś osiąść każdą najpiękniejszą heteroseksualną kobietę, nie możesz sobie wyobrazić życia z nią w nieczystej miłości; uznajesz tylko miłość bezgraniczną i wierną. Wyobrażenie tej czystej miłości nosisz w sobie. W swoim sercu. W swoim świętym sercu. Pozostałeś w nim wierny wibracji (albo inaczej mówiąc – duchowi) praźródła.

– Co to jest duch... czy też, jak mówisz, wibracja praźródła?

– Miłość. I pierwsze i ostatnie przykazanie: kochaj... sercem. Tylko w ten sposób można uratować świat: kochając sercem. A dla tych, którzy tego nie rozumieją, jest kosmiczne prawo.

– Kosmiczne prawo? To znaczy...

– To proste. Prawo karmy, dziesięć przykazań. Kto ich przestrzega, ten ma władzę. Władzę bycia szczęśliwym. Czyli

życia bez ciężaru wyrzutów sumienia. Tak jak ty, Slim...

Magan zdusił w sobie ostatnie słowa. Odwrócił się.

– Jesteś naszą nadzieją, Slim. Jedynym spośród nas, z naszego królestwa, naturalnie narodzonym w tym świecie i jednocześnie z przekonania i serca sprawiedliwym. A ten świat to jest Sodoma i Gomora. Rozumiesz? Uratowałeś go od zagłady. Teraz jest twój. W nagrodę dostaniesz do zagospodarowania swój własny świat. Z niego właśnie do ciebie przybywamy. Stoimy wszyscy do twojej dyspozycji. Na razie ty potrzebujesz nas, ale później to my będziemy potrzebować twojej pomocy.

Dryblas, który przed chwilą zasłabł, zaczął się znowu przebudzać.

– Co z nimi? – spytałem.

– Niestety, muszą zostać pozbawieni części swoich genitaliów. A ten tutaj – wskazał na dryblasa – za dużo wyrządził ludziom krzywdy. Musimy więc pozbawić go tej możliwości na przyszłość.

– Jak... to możliwe?

– A jak myślisz? – spytał retorycznie.

– Nie wiem – westchnąłem ciężko. Swoimi myślami i całym swoim wnętrzem byłem nadal przy Atai.

– Straci wzrok. Zachoruje i straci wzrok.

– I jak to zrobicie?

– Zrobimy, Slim. Zrobimy – razem. Siedzimy w jednym przedziale, nie zapominaj o tym.

– A pociąg pędzi przed siebie w przepaść?

– Mniej więcej.

– Już gdzieś to słyszałem.



– I dlatego sprawdzamy bilety. Bilety, które otrzymują tylko ci, którzy nauczyli się fruwać. Wszyscy pozostali to pasażerowie na gapę. Musimy ich zawczasu usunąć, bo stanowią zbyt duży balast. Gdybyśmy tego nie zrobili, nasz pociąg mógłby runąć w przepaść, nie dotarłszy na drugi brzeg.

Dryblas już całkowicie oprzytomniał. Jednocześnie powróciła Klaudia, targając ze sobą rodzaj hamaka. Magan podniósł dryblasę z tyłu za spodnie, jakby był ze styropianu, postawił go na równe nogi, i powiódłszy go przed sobą w stronę Atai, zapytał:

– Widzisz, co jej zrobiłeś?

Potem zaś zaprowadził go w drugi koniec pokoju, tam, gdzie przed chwilą siedział, dał mu do ręki coś w rodzaju długiego, ostrego sztyletu i powiedział:

– Jeżeli sam sobie odetniesz jaja, zachowasz jedną nogę i jedno oko. Jeżeli nie, stracisz obie nogi i obydwójce oczu.

Kiedy dryblas pojął po chwili, co za propozycję zrobił mu Magan, zawołał za nim z wściekłością:

– Ty k\*\*\*a twoja pi\*\*\*\*\*a m\*ć! – i rzucił sztylet, pewną zdawałoby się ręką, w stronę pleców zmierzającego w naszą stronę Magana. Magan złapał nóż lewą dłonią od tyłu, w locie, jakby miał oczy na plecach i, odwróciwszy się błyskawicznie, odrzucił go z takim impetem, że utkwiał prawie po rękojeść w lewym ramieniu siedzącego pod ścianą dryblasę, przytwierdzając je do wyłożonej nią boazerii. Dryblas spróbował sztylet po chwili wyciągnąć, ale nie dał rady, bo długie gdzieś na trzydzieści pięć centymetrów ostrze do połowy swojej długości wbite było w ścianę, jakby je ktoś tam niczym eksponat muzealny już przed wielu laty na stałe zacementował. Był wściekły i czerwony ze złości, ale każdy nierozważny ruch przyprawiał go o silny ból, więc w końcu, na ile to tylko było możliwe, wyprostował plecy wzdłuż ściany, starając się przyjąć możliwie bezbolesną pozycję. Kiedy zaś już właśnie ponownie

otworzył usta, żeby wyrzucić z siebie jakieś kolejne przekleństwo (albo pogrózkę), jęknął tylko z bólu, przekonawszy się, że ten ostatni nie tylko jego ramię, ale i jego (dodajmy – plugawy) pysk trzyma w szachu.

Ataję przełożyliśmy tymczasem delikatnie na hamak. Miała brutalnie połamane nie tylko wszystkie kończyny (oprócz prawej ręki), ale także wiele żeber i palców. Dzięki wcześniejszemu „zastrzykowi” Klaudii wyrównał się jej oddech. Jak Klaudia zapewniła, Ataja znajdowała się teraz w stanie głębokiego snu regenerującego i w najbliższym czasie będzie mogła zostać poddana operacji. Technologia tej operacji (czy też tego rodzaju operacji) stoi poza zasięgiem współczesnej ziemskiej chirurgii i w ogóle medycyny. Ale nie może być ona przeprowadzona bez zgody Atai. To ona sama musi rozpoznać swoje położenie w labiryncie przeznaczenia i wybrać optymalną z jej punktu widzenia ścieżkę. Przy tym osobą, która miałaby mieć największy wpływ na decyzję, jaką podejmie Ataja, byłem właśnie ja.

Spod willi Le Parda odlecieliśmy jego własnym helikopterem. Mieliśmy na pokładzie dodatkowego pasażera, może dwunastoletniego afrykańskiego chłopca. Spośród kilkunastu kobiet, dziewcząt i chłopców, odnalezionych przez Klaudię i Magana w podziemnej kondygnacji (w której rozmieszczone były nie tyle pomieszczenia piwniczne, ile sale i cele tortur), jedynie on dzisiejszą noc przeżył. Miał między innymi nadcięty odbył (w wiadomym celu) i groziło mu w każdej chwili zakażenie i wykrwawienie, mimo że został przez Klaudię prowizorycznie podleczone i opatrzone. Wszyscy inni zostali z okazji święta nocy poślubnej najpierw wielokrotnie brutalnie zgwałceni, a potem zamęczeni na śmierć. Później się dowiedziałem, że Le Pard częściej zwykł był urządzać takie noce poślubne. Wychodził z logicznego na pozór założenia, że skoro natura wyposażyła go w penisa zamiast pochwy, to on musi to sobie jakoś zrekompensować. Uprawdzał zakochane pary i urządzał im noc poślubną. Zawsze miało to podobny przebieg, tylko że

narzeczona nie zawsze przeżywała piwniczne tortury; więc narzeczony odnajdywał często następnego dnia rano obok siebie w łóżku jej trupa – albo raczej jej okaleczone szczątki.

Magan i Klaudia usunęli wszystkim dziewięciu ludziom Le Parda, którzy wzięli udział w nocnych torturach, wiadomą część genitaliów, dryblasowi obcięli ponadto obie nogi. Zainfekowali mu też gałki oczne rodzajem niezaraźliwego dla innych wirusa, który w ciągu następnych miesięcy miał u niego spowodować całkowitą, nieuleczalną utratę wzroku. Przed odlotem wezwali dla nich pomoc, gdyż inaczej towarzystwo by się w krótkim czasie wykrwawiło. Magan zaimplikował im ten sam rodzaj „tipexa”, który stosowała Klaudia, po czym wprowadził ich w stan krótkiej hipnozy, w czasie której wymazał im z pamięci wszystko, co dotyczyło ich powiązań z Le Pardem oraz ich udziału w jego morderczym procederze, sugerując im także zakaz wiązania się w jakikolwiek sposób z Le Pardem seniorem. Ma się rozumieć, że pozbawił ich także pamięci o nas i całej tej dzisiejszej akcji, nie uwalniając ich jednak od ciężaru ich bandyckich przewinień. Willa Le Parda juniora została wysadzona w powietrze, tylko zatorturowane kobiety i dzieci wynieśliśmy przedtem na zewnątrz. Magan zadbał o to, żeby wszyscy zostali pochowani. Także Le Pard. Jakiś znajomy ksiądz miał za nich odprawić w Paryżu mszę i zmówić nowennę do Miłosierdzia. Z całej bandyckiej grupy Le Parda bez uszczerbku przeżyła cały ten incydent tylko jedna osoba, a mianowicie kierowca limuzyny, do której zostałem w Paryżu zaproszony „na przejażdżkę”. Puścił wtedy do mnie oko, a ja nie wiedziałem, o co mu chodzi. Teraz się dowiedziałem, że to był John Tesko, agent i bliski współpracownik Klaudii i Magana. Czy to był jednak ten sam John, z którym miałem do czynienia na tej opisaney (ponoć przeze mnie samego) Ziemi dwudziestego czwartego stulecia? Czy my z przyszłości byliśmy wersjami nas samych z przeszłości? Czy może odwrotnie? Nie był to odpowiedni czas, żeby łamać sobie nad tym głowę. A nikt sam z siebie nie raczył mi tego wyjaśnić. Dowiedziałem się tylko, że potrzebowaliśmy go jako ogniwa w siatce powiązań Le Parda

seniora. To on miał tego ostatniego powiadomić – jako jedyny szczęśliwie ocalały – co stało się z jego synem, sugerując mu, że była to wendeta innej, konkurującej z Le Pardem na rynku handlu ludźmi i dziećmi organizacji mafijnej ze wschodniej Azji. I to on właśnie pomógł Klaudii i Maganowi dostać się do sypialni, w której z Atają spędziłem „noc poślubną”.

Zanim przedostaliśmy się do Gibraltaru, skąd mieliśmy odlecieć do Francji, wylądowaliśmy w pewnym bardzo wysokim i niedostępnym regionie gór Atlasu. Znajdowało się tu tajemne przejście, gdzie nasi sprzymierzeńcy (mówię „nasi” w znaczeniu moi i moich agentów) z innych „czasoprzestrzeni” mogli najłatwiej nawiązywać z nami kontakt. Magan i Klaudia powiedzieli mi, że musimy tam odtransportować Atają. Dopiero wtedy zadecyduje się, jak dalej potoczy się jej (i mój) los. Kiedy z helikoptera, którym Klaudia wylądowała na małym płaskowyżu skalnym, jak na miękkiej poduszce, wynieśliśmy dogorywające ciało Atai i ułożyliśmy je w jaskini, aby zostawiwszy ją sam na sam ze sobą, odczekać, jaki będzie wyrok przeznaczenia – czyli czy Ataja umrze, czy przeżyje – tknęło mnie coś i poprosiłem ich, żeby zostawili mnie na chwilę z Atają sam na sam. Pochyliłem się nad nią i pocałowałem ją w czoło. Miała przemytą przez nas i opatrzoną twarz, bez śladu makijażu – co sprawiało, że mimo zadrapań i opuchlizny była tak piękna i wyglądała tak młodo i niewinnie... Wtuliłem się w nią. Oddychała prawie niewyczuwalnie. W pewnej chwili jakby lekko drgnęła i usłyszałem ciche:

– Slim?

Teraz to ja drgnąłem, bo odruchowo się zląkłem. Nie spodziewałem się przecież, że odzyska nagle przytomność. Uniosłem głowę i spojrzałem na nią. Miała szeroko otwarte oczy.

– Tak – powiedziałem.

– Slim... Ja nie wrócę.

– Jak to nie wrócisz? Wiesz w ogóle, gdzie jesteś?

Zrobiła lekki przeczący ruch głową.

– Jesteś w tym przejściu. Mają cię odebrać i wykurować. Wszystko będzie dobrze.

– Slim, ja wiem, co mówię. Tak było zaplanowane. Nie mówiliśmy ci o tym, bo byś się nie zgodził, ale... ja nie wrócę. Chciałam się z tobą tylko pożegnać.

Znowu byłem zszokowany. Właśnie ożyła we mnie nadzieja i spodziewałem się z jej ust usłyszeć teraz coś całkiem innego. Pogłaskałem ją po jej pięknym, wysokim czole i po głowie. Potem wziąłem do ręki kosmyk jej jasnych włosów i je ucałowałem. Uśmiechnęła się.

Przytuliłem się do niej znowu delikatnie, starając się jej nigdzie nie naciskać, bo przecież jej ciało było jedną wielką raną. Powiedziałem cicho:

– Kocham cię.

– Slim... Byłeś jedynym mężczyzną, którego kochałam... Twoje serce... jest niebiańskie.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam. Poczekaj – odepchnęła mnie lekkim ruchem ramienia, kiedy ponownie chciałem się do niej przytulić. – Chciałam ci coś powiedzieć. W tę naszą noc poślubną wczoraj... Czy przedwczoraj? Straciłam rachubę czasu.

– Wczoraj. Z wczoraj na dzisiaj.

– Tak... Mówiłam ci, że on chciał, żebym ja to u ciebie robiła buzią, podczas gdy on...

– Tak, wiem.

– Ale ja coś przemilczałam. Nie powiedziałam ci, że najpierw...

Najpierw... – łzy, które od dłuższego czasu napływały jej do oczu, teraz zaczęły jedna po drugiej skrapiać jej policzki. Uśmiechnąłem się i delikatnie obtarłem je palcem. Ataja przełknęła z dużym wysiłkiem ślinę i mówiła dalej: – Najpierw... Otóż ja nikogo innego nie miałam przedtem, żadnego mężczyzny. I... miałam jeszcze błonę dziewiczą, kiedy chcieli się do nas dobrać. I powiedziałam mu o tym.

– Le Pardowi?

– Tak. I on mnie nawyzywał, a potem chciał, żebyś ty to jakoś tak zrobił, ale się nie udało. Więc kazał ci to załatwić... Odbyć ze mną... I zostawili nas na chwilę w spokoju.

Teraz mnie zakręciły się łzy w oczach. A więc byłem pierwszym i jedynym – nie licząc jej późniejszych gwałcicieli – mężczyzną Atai?

– Naprawdę? – spytałem.

– Tak. I ja byłam po tym bardzo szczęśliwa. Było mi tak dobrze, bo właśnie po to się narodziłam, żeby... I było mi wszystko jedno, co oni ze mną zrobią.

– Ataja, proszę, zostań. Nie zostawiaj mnie samego. Nie musisz przecież umierać.

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. I... I kiedy to się stało, poczułam w moim brzuchu takie ciepło, inne niż to, które znam, takie wspaniałe ciepło... I wiem, że to jest tu w środku.

– Co jest w środku? Co masz na myśli?

– Nasze... dziecko. Ono się poczęło. I chciałam ci powiedzieć, że ono nie umrze. Ono się narodzi... w innym wymiarze. Będę tam na ciebie czekała.

– Ale... mówiłaś przecież... że Aiysha na mnie czeka...

– Slim... Ja jestem Aiyshą. Po tym wypadku, który miałam... Wiesz,

w drodze do pracy. Ja wtedy, to znaczy ona wtedy, ta dziewczyna, którą miałeś za Ataję... ona umarła. I udostępniła mi swoje ciało. I ona nie wróciła. A ja... Ja weszłam w jej piękne ciało. To miała być dla ciebie nagroda za bezinteresowną miłość. Za miłość, jaką mi okazałeś. Mnie jako Atai.

Byłem zalany łzami. Ataja (a właściwie Aiysha) mówiła z trudem i kiedy z każdą chwilą pełniej docierał do mnie sens jej słów, wpadałem w coraz to większe osłupienie. Więc w jej ciele mieszkała Aiysha. Ataja była Aiyshą.

– Aiysha – wymówiłem powoli. – Czy jesteś pewna, że chcesz mnie opuścić? Czy musisz umierać? Jaki to ma sens?

– Ja będę przy tobie. Tylko moje ciało umiera. A on... Wiem, że to będzie synek... A on... narodzi się na naszej, lepszej Ziemi. Chcę tylko... Będziemy tam na ciebie czekać. Chcę tylko... żebyś powiedział, jak mamy go nazwać... W końcu to ty... – uśmiechnęła się. – W końcu to ty piszesz ten pamiętnik.

– Poczekaj... Muszę się zastanowić.

– Teraz wiesz, czemu nie chciałam, żeby Klaudia mówiła o Aiyshy. Bo by się wydało, że to ja jestem Aiyshą... I byś się nie zgodził. Nie zgodziłbyś się, prawda?

– Nie zgodziłbym się.

– Widzisz? A to ty sam wymyśliłeś ten pamiętnik, tę historię. Ale to jest prawda. I potem się spotkamy. Tak mówi pamiętnik, który ja znam z przyszłości. Mamy się spotkać.

– Gdzie?

– Na Ziemi. Na nowej Ziemi.

– Na nowej Ziemi?

– Tak. Ale na tej Ziemi, tutaj. To będzie nowa Ziemia. I tam...

będzie inaczej. Tam będzie twoje królestwo.

– Nasze królestwo.

– Nasze – uśmiechnęła się. Wyglądała jak anioł. Z jej olbrzymich, niebieskich oczu ze szczęścia lały się łzy.

– Teraz cię mam – zaczęła znowu. – Już na zawsze. Wszedłeś do mnie przez buzię i przez... Czuję cię w sobie. Czuję twoją część, Slim. We mnie.

Byłem całkowicie struchlały. Tak jak wtedy, kiedy ten dryblas bił ją pod ścianą i łamał jej kości i żebra, a ja nic nie mogłem zrobić, bo trzymali mnie we trójkę, Le Pard i tych jego dwóch ludzi. I wtedy dotarło do mnie, że ona rzeczywiście sama tego chciała. Była tak zdruzgotana tym, co przeszła, że naprawdę nie chciała już żyć. Miała dosyć tego świata. Mimo że była rodzajem nadczłowieka. A może właśnie dlatego. I umarła na świadectwo. Żebym się przekonał, jaki ten świat jest. Żebym walczył. Żebym się z mieszczuchami i mafiosami nie pokumał. Żebym nie zapomniał, skąd pochodzę.

Teraz to do mnie dotarło. Pojąłem jej misję. Pojąłem jej wielkość. Pojąłem jej najgłębszą pokorę. Jej absolutną bezinteresowność i odwagę, i jej świętą naiwność.

Pogładziłem ją po policzku. Z trudem i powoli uniosła swoją prawą rękę i położyła ją na mojej. Jej dłoń była zsiniała i opuchnięta. Co najmniej dwa palce były złamane. Znowu łzy napłynęły mi do oczu i lały się ze mnie mniej więcej już ciurkiem. Musiałem wysiąkać nos, bo od płaczu miałem już wszystko zatkane i prawie nie mogłem mówić. Wtedy skojarzyłem sobie, jakim jestem egoistą. Przecież Ataja (Aiysha) też musiała mieć od wzruszenia zatkany nos, a mnie nie przyszło do głowy, żeby jej ulżyć. Wziąłem teraz więc jedną z chusteczek, które miałem przy sobie, i przytrzymałem, żeby wysiąkała nos. Spróbowała, ale nie do końca się to udało. Poprosiła natomiast o łyk wody, to znaczy zrobiła ruch ustami, jakby chciało jej się pić.



– Chcesz się napić?

– Tak – powiedziała i zrobiła jeszcze raz lekko potakujący ruch. – Twoje łzy. Chcę pocałować twoje łzy.

Przybliżyłem się na tyle do jej ust, że mogła pocałować mój policzek. Ale ona powiedziała:

– Nie, twoje oczy.

Zamknąłem oczy i przyłożyłem lewe oko do jej miękkich, napuchniętych warg. Całowała je i oblizywała, jakby rzeczywiście chciała się napić. Po chwili odepchnęła mnie lekko, ale zdecydowanie i pokazała wzrokiem na moje drugie, prawe oko. Całowała je znowu tak naiwnie i chciwie jak dziecko, które miałoby wreszcie okazję napić się jakiegoś swojego ulubionego nektaru. Było to cudowne uczucie. Ale Aiysha (w ciele Atai) znowu mnie odepchnęła i powiedziała:

– Pocałuj mnie.

Chciałem pocałować ją w oczy, jak ona mnie przed chwilą, bo jej usta były tak napuchnięte, że obawiałem się ich dotknąć, żeby nie zadać jej bólu. Ale ona potrąciła mnie lekko swoim złamanym nosem, i kiedy podniosłem głowę i na nią spojrzałem, nieznacznie poruszyła ustami w moim kierunku. Dotknąłem więc jej ust najdelikatniej, jak tylko mogłem, a ona, powoli i z trudem położywszy mi swoją prawą, „zdrową” rękę z tyłu głowy, nieporadnie przylgnęła do moich warg, zamykając przy tym oczy.

To był nasz ostatni i jedyny pocałunek. W pewnym momencie drgnęła i nagle jej usta zamarły. Początkowo nie dotarło do mnie jeszcze, że to było jej ostatnie tchnienie. Miałem cały czas nadzieję, że przeżyje. Kiedy stało się dla mnie jasne, że to już koniec, przez dłuższą chwilę pozostałem w bezruchu, aby nic nie uronić z tego jej ostatniego oddechu. Potem położyłem głowę na jej teraz okrytych, choć przecież – miałem to jeszcze w pamięci – prawie całkowicie zmasakrowanych piersiach. Zamknąłem oczy. W pewnym momencie odniosłem jednak wrażenie,

że wokoło zrobiło się jakby jaśniej. Ostrożnie otworzyłem więc oczy i, podniósłszy się, zobaczyłem, że otacza nas jakaś światłość. Cała jaskinia wypełniona była srebrzystym światłem, a mały świecznik, który przedtem stał obok nas, gdzieś się po prostu zapodział. Twarz Aiyshy zamarła w anielskim uśmiechu. Nie wiem, jak długo to trwało, ale kiedy światło się rozpląnęło, Aiyshy już nie było. Po prostu znikła.

Chwilę siedziałem jeszcze w bezruchu, kiedy nagle usłyszałem wyraźne, choć ciche:

– Slim.

Rozejrzałem się. Nikogo nie było.

– Tutaj – usłyszałem ponownie głos, dochodzący jakby z prawej strony od góry. Jaskinia ciągnęła się dalej w tym właśnie kierunku.

Dopiero po chwili oczom moim ukazał się świetlny stożek, w którym zanurzona była Ataja-Aiysha. Miała na sobie białą suknię, bardzo podobną do tej, w którą wczoraj była ubrana. Ale to nie była ta sama Ataja, która przed chwilą leżała koło mnie. Na moich oczach rysy jej twarzy zaczęły zmieniać swój kształt i po chwili ujrzałem przed sobą heterolandzką księżniczkę Aiyshę. Dokładnie niemal taką, jak ją sobie wyobrażałem (albo pamiętałem?), czytając swój pamiętnik. Uśmiechała się do mnie, lewą ręką wskazywała na serce, prawą zaś trzymała na brzuchu. Nie było na niej śladu po jej zewnętrznych obrażeniach i wyglądała tak pięknie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem z bliska jej nieumalowaną twarz, gdy była jeszcze tą dwudziestoletnią dziewczyną, rozpoczynającą – zdawałoby się, nieuniknioną – karierę zawodową w banku; tyle że jej twarz miała teraz inne rysy. Ale stożek światła, w którym teraz stała, był łudzaco podobny do tego, który wtedy ujrzałem tym moim wewnętrznym wzrokiem, kiedy ona powiedziała: „Czy mnie się zdaje, czy tu jest tak gorąco?” Nie wiedziała jeszcze wtedy, że to światło, które

przenika przez nią z góry – a które miało przedziwny związek z otaczającą mnie ponadzmysłowo, jakąś świetlistą tkanką (której obecność od tego dnia ujawnia mi się niezależnie od mojej woli systematycznie do dzisiaj) – wywołuje u niej wrażenie tego gorąca. Nie wiedziała jeszcze nic o świetle prażródła. I gdybym jej wtedy słowo o tym nadmienił, mogłaby sobie pomyśleć, że „temu to nieźle odbiło”.

A teraz... Oprócz świetlnego stożka, w którym ona sama cała się znajdowała, otaczała ją całą świetlista, niebieskavo-srebrzysta poświata (z lekkim jakby złotawym odcieniem), a nad jej głową i wzdłuż jej włosów, które anielsko otaczały jej królewsko-dziewicze oblicze, wiła się faliście jeszcze intensywniejsza i jaśniejsza aura, jakby jej znak szczególny, jej dziewicza korona.

„Jak długo muszę jeszcze czekać, żeby być z tobą?” – zadałem sobie w myślach pytanie. A ona odpowiedziała:

– Tutaj znany ci czas nie istnieje. To potrwa tylko chwilę. Żegnaj, Slim. Bardzo cię kocham i czekam na ciebie.

– Czy ty jesteś Aiyshą czy Atają?

– Aiyshą. Ale Ataja stała się w tym życiu moim aspektem. Moim dopełnieniem. Jakby moją bliźniaczą siostrą. Swoim cierpieniem spłaciła nam dług, mnie i tobie. Dług, który u nas zaciągnęła. I powróci dzięki temu do Królestwa.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa.

– Kocham cię. I bardzo cię potrzebuję – próbowałem jej wytłumaczyć, mając jeszcze cień nadziei na jakiś cud, na to, że powróci.

– Będę zawsze przy tobie – powiedziała.

– Chciałem jeszcze cię spytać... – naprędce usiłowałem coś wymyślić, żeby choć przez chwilę ją zatrzymać. – Jak... Jak ci tam jest?

– Tu wszystko tonie w świetle. Ale kiedyś Ziemia będzie planetą światła.

– Kiedyś? To znaczy kiedy?

– Teraz. To znaczy teraz. Ta część ciebie, która jest ze mną, może to odczuwać. I ty poprzez nią. Jesteś już z nami, musisz tylko... do końca wyzwolić swoją świadomość.

– Do końca? Od czego?

– To ty wiesz najlepiej. To ty piszesz tę historię.

Słowa te zabrzmiały w jej ustach sucho i obco, ale jednocześnie spojrzała na mnie swoimi już nieziemskimi oczami tak pięknie i przyjaźnie, iż nie pozostawiła mi cienia wątpliwości, że to znowu ona ma rację.

– Muszę już iść – powiedziała spokojnie.

– Czy naprawdę musisz? Czy nie możesz mi chociaż w tym... kształcie towarzyszyć?

– Nie mogę, Slim.

– Dlaczego? – zrobiłem nieświadomie krok w jej kierunku, nie mogąc się uwolnić od jej fantomicznej, obezwładniającej siły przyciągania.

– Stój! Nie podchodź do mnie! Masz za silną aurę. Kiedy ktoś umiera, może mylnie wziąć ją za wyjście z tunelu. Albo za światłość rozświetlającą ciemności.

– Ale przecież nie ty!

– Ja nie, ale ja cię kocham. Chcesz, żebym w tobie ugrzęzła?

– We mnie ugrzęzła? – zapytałem z niedowierzaniem, czując się już prawie winnym, że znowu coś robię nie tak, mimo iż wszystko, co robiłem, wynikało jedynie z tego, co do niej odczuwałem. Westchnąłem więc tylko głęboko, nie doczekawszy

się z jej strony odpowiedzi. Było chyba oczywiste, że kto jak kto, ale ja bym jej nie życzył, żeby we mnie „ugrzęzła”, jak się wyraziła, choć ledwo mogłem sobie wyobrazić, co to znaczy, i choć zabrzmiało mi to z jej strony trochę odpychająco, tak jakby rzeczywiście się obawiała, że mogę jej wyrządzić jakąś krzywdę. Przy tym byłem raczej pewien, że tak naprawdę chodziło jej o mnie, a nie o siebie, i że to prędzej ja mógłbym ugrząść w niej, niż ona we mnie.

Wpatrywałem się w nią jeszcze chwilę w smutnym oczekiwaniu, że to już ostatnie sekundy jej widocznej obecności. Jakby na potwierdzenie, uśmiechnęła się do mnie swoim anielskim uśmiechem i wyszeptała:

– Będę przy tobie.

Stożek światła zaczął się rozpląwać, a ona wraz z nim. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Odruchowo osunąłem się na kolana, z których po chwili bezsilnie opadłem na własne pięty. Nie mogłem się ruszyć z miejsca i nie czułem swojego ciała. Jakbym był przedłużeniem rozciągającej się pod moimi nogami skały...

– Slim? – usłyszałem głos Klaudii.

Autorstwo: Slim

Źródło: WolneMedia.net